Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

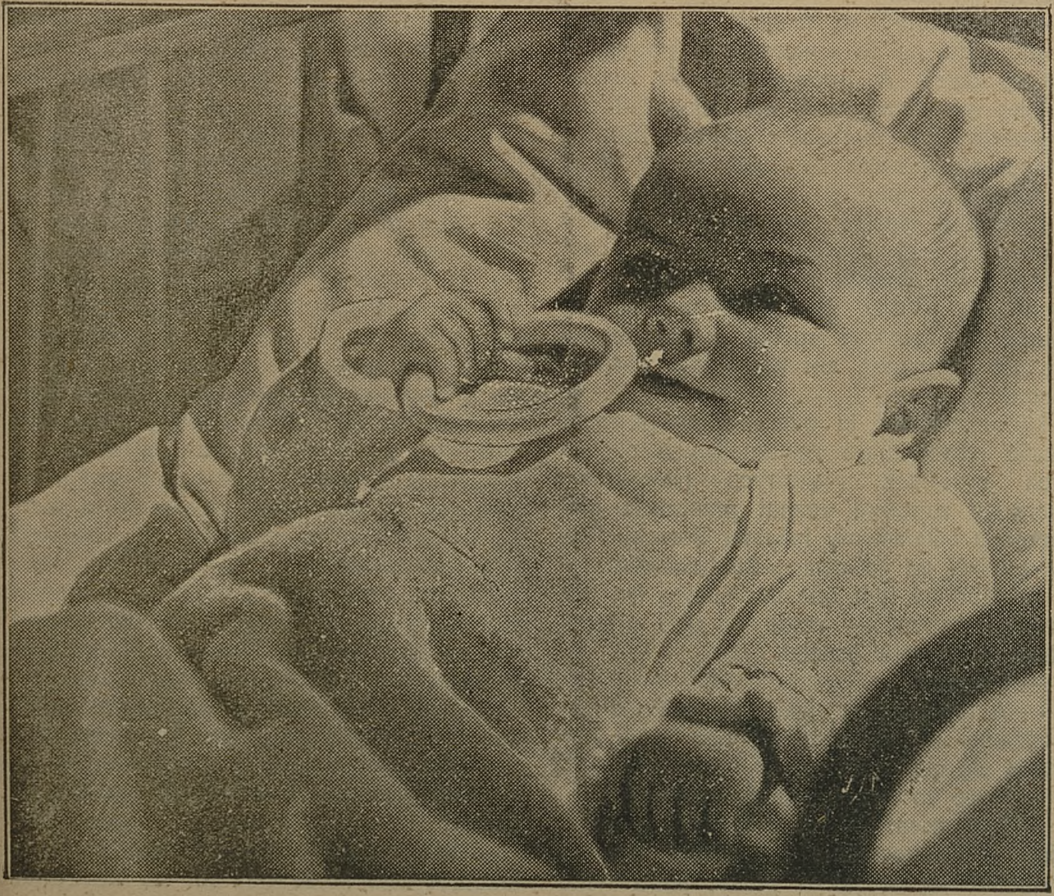
1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI — Niedziela, dnia 13 lutego 1938 r. — Nr. 7

DZIECKO



Dziecko — to skarb matczyny — to słodki dar Boski.
Wnosi do domu szczęście i radości wiele.
Dziecko — nowy cel życia, — może nowe troski,
Jednak cel lepszy, wyższy ponad inne cele.

Dusza dziecka — kwiat cudny, przesłany z zaświata.
Nieś go matko ostrożnie, rozważnie, pomału,
Wytrwale, niestrudzenie — miesiące i lata,
Drogą piękna i dobra, drogą ideału.

M. V. W. Sendlerowa.

ADAM CZEKALSKI

19)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

W tej chwili Figurski subtelnym swoim słuchem dostrzegł jakąś niedokładność w pracy maszyny, bo zwrócił na nią uwagę pomocnikowi, nakazując mu naoliwić miejsce niedokładnie pracujące, a sam zaczął sprawdzać manometry i stopień ciśnienia pary.

— Jedziemy doskonale — mruknął następnie do siebie. — Nie mamy ani sekundy opóźnienia. Nadrobiliśmy te siedem minut, które opóźniliśmy od Katowic.

A pociąg mknął dalej, jak burza, oznajmiając się tu i ówdzie głośnym świstem syreny, lub hamując swój bieg na mostach i przyczółkach mostowych, gdy tak nakazywały znaki ostrzegawcze.

Figurski znowu spojrzał na zegar — do Łodzi mieli jeszcze czterdzieści minut. Powiedział o tym Machałkowi.

— Co pan tak dzisiaj liczysz minuty, panie Figurski? — zdziwił się pomocnik.

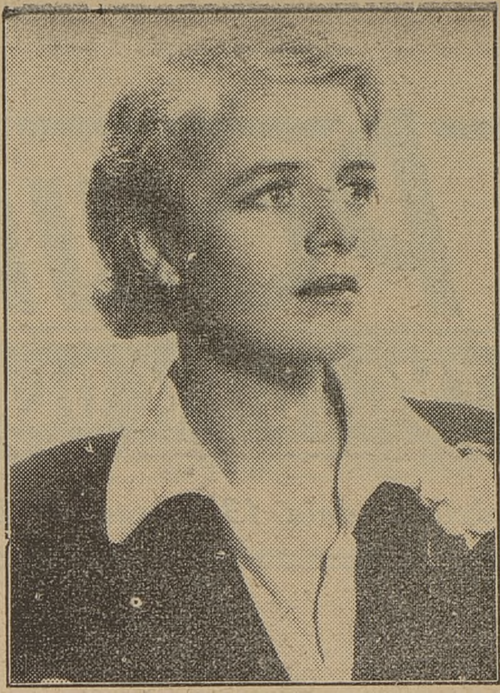
— A wiesz pan, sam nie wiem czemu, ale coś tak mi dzisiaj radośnie, że znowu na stacji zobaczę moją starą z jedzeniem. To doprawdy ciekawe, nigdy nic podobnego nie odczuwałem.

Pomocnik pokiwał tylko głową i otworzywszy czeluście pieca, zaczął zapychać smokowi ogniste gardło węglem. Figurski manipulował przy maszynie, czuwając, czy tłoki działają sprawnie, czy jest dostateczne ciśnienie. Był on już starym maszynistą, mającym za sobą wiele milionów przejechanych kilometrów, toteż nie potrzebował wcale patrzeć, aby słuchem wyczuć, czy maszyna pracuje sprawnie. Ponadto, miał on wysokie poczucie odpowiedzialności za całość prowadzonego pociągu, w którym znajdowały się setki ludzi, którzy losy swoje jemu dali w rękę.

Naraz Machałek podniósł się, wyprostował zgarbiony grzbiet i czarną od węgla i smarów ręką obtarł spocone czoło. Oczy płonęły mu jakoś dziwnie, jakby nagle gorączka ścisnęła go w swoich rozpalonych kleszczach. Figurski, który to spostrzegł, nie zdążył zapytać pomocnika o przyczynę takiego wyglądu, gdy naraz poczuł, że zaczyna i on drżeć całym ciałem, że jakimś skurczem bolesnym ściska mu się gardło, jakby nagle ktoś go dusił. Spróbował otrząsnąć się z tego dziwnego stanu, sięgnął nawet ręką po butelkę z kawą, grzejącą się od pieca lokomotywy, ale już nie mógł jej dosięgnąć, bo naraz jakaś ciemność zamigotała mu przed oczyma, jakby naraz ktoś oczy płachtą mu zasłonił, zachwiał się i zdążywszy jeszcze wyszeptać tylko: „panie Machałek" — padł bezwładny na podłogę.

Pomocnik natomiast stał czas jeszcze jakiś, wsparty na łopacie, po czym i on zwalił się na ciało swojego starszego kolegi. A maszyna, pozbawiona kierownictwa, pełną parą pomknęła przed siebie.

Na najbliższym posterunku dyżurujący kolejarz zasalutował przebiegającemu pociągowi, ale jednocześnie zdziwił się bardzo widząc, że maszynista nie zwalnia wcale biegu pociągu przed wjazdem na oblu-



Młoda i utalentowana artyska amerykańska Rosamund Pinchot, popełniła samobójstwo.

zowany nieco, skutkiem reparacji tor, i że w ogóle nikogo nie widzi w maszynie.

— Pijany, czy szalony? — mruknął do siebie kolejarz, patrząc długo za pociągiem, którego nawet czerwone światła tylne dawno rozlały się w ciemności.

Tak samo zdumionym był dyżurny ruchu na następnym przystanku kolejowym, widząc przebiegający całą siłą pary pociąg i nie zatrzymujący się tutaj, chociaż powinien tu był się zatrzymać. Zaniepokojony, zatelefonował do następnej stacji, meldując o spostrzeżeniu, a'e tam odpowiedziano mu, że może maszynista zapomniał o zatrzymaniu pociągu, a zresztą — dodano, całą sprawę wyjaśnimy na miejscu, gdy u nas pociąg się zatrzyma.

— Ależ panie kolego — próbował jeszcze monitu dyżurny ruchu — pociąg prowadzi Figurski, który mało sto razy jechał już na tej linii.

— Zobaczymy na miejscu — odpowiedziano mu na to i pozwolono pociągowi pędzić dalej. A pociąg ten, jak pociąg widmo mknął naprzód, nie dając żadnych sygnałów, nie zwalniając nigdzie biegu i zdając się jeszcze bieg ten przyśpieszać z minuty na minutę.

Kierownik pociągu wyjrzał z brankardu i mruknął coś pod nosem, bo i on spostrzegł, że zaczyna się dziać coś niesamowitego. Pociąg przebiegał przystanki, przebiegał mosty i mostki, a nigdzie ani się nie zatrzymał, ani nawet nie zwalniał biegu.

Niesamowitość ta uderzyła po pewnym czasie nawet mało rozumiejących się na tych sprawach niektórych pasażerów. Pierwszy zapewne doznał przeczucia nieszczęścia i katastrofy inżynier Sorecki, który zwrócił na to uwagę Stadnickiemu.

— Albo na tym odcinku pociąg ten jest przyśpieszony — rzekł — albo maszynista po prostu oszalał.

— Czemu?

— A toż pędzimy, jakby się paliło. Przejeżdżamy trzecią stacyjkę bez zatrzymywania się gdziekolwiek.

— Może to przyśpieszony pociąg?

— Nie wiem — odrzekł krótko inżynier i równocześnie przymknął oczy i wsłuchał się w jakieś głosy, jemu tylko znane, jakby w nich ułowić chciał coś, co by go objaśniło o dziwnym niepokoju, jaki nagle wzbierać w nim począł. Potem powstał nagle i wybiegł na korytarz. A tu już szumiało i huczało dziwną trwogą, która zrywała się z ust ludzkich, przebiegała wagony, budząc grozę i przerażenie.

— Coś się dzieje... Coś się dzieje — powtarzano sobie szeptem, ale nikt nie wiedział, co dzieje się mianowicie.

Sorecki przystanął moment na korytarzu, jakby chciał się zorientować w sytuacji, a następnie, nie odpowiedziawszy nawet na pytanie jakiejś starszej jejmości, pobiegł do drzwi. Stadnicki wyjrzał za nim, a zobaczywszy go wydostającego się na zewnątrz pociągu, zawołał mocno zaniepokojony:

— Inżynierze, co pan robi? Wiatr może pana zrzucić z stopni!

— Muszę zobaczyć, co tam w lokomotywie się stało — odpowiedział spokojnie inżynier, zatrzaskując drzwi za sobą.

Słowa te podziałały jak iskra elektryczna, rzucona na beczkę prochu. Niepokój, który w dziwny sposób rozprzestrzeniał się po całym pociągu, teraz zaczął już przybierać zgoła wyraźne kształty. Zaczynano dorozumiewać się prawdy, a prawda ta przybierała formy jakieś upiorne.

Tymczasem zaś na całej linii aż do Łodzi rozdzwoniły się dzwonki telefonów, zawrzało, zahuczało, jakby nagle zbliżał się orkan o potężnej sile, który za chwilę zmiecie wszystko z powierzchni ziemi. Już teraz dla służby kolejowej nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ten oszalały pociąg, pędzony na łeb na szyję przed siebie, nie zatrzymujący się, wbrew ustalonemu porządkowi i przepisom na żadnej stacji, na której zatrzymać się powinien — urastał do rozmiarów jakiegoś potwornego widma, które budziło strach i przerażenie.

— Zatrzymać pociąg za wszelką cenę! — rozbrzmiewało nieustannie w telefonach.

— Oczyścić tor kolejowy! — rzucał zgorączkowanym głosem w tubę telefonu zawiadowca stacji w Łodzi.

A pociąg pędził oszalały, bezduszny, niepomny na nic i nikogo.

— Jeszcze kwadrans czasu do Łodzi — obliczali przerażeni pasażerowie. — Gdzie nas ten pociąg zawiezie?

A inżynier Sorecki, wydostawszy się na dach wagonu, zaczął ostrożnie posuwać się ku przodowi, ku lokomotywie. Z siły wiatru określił szybkość pociągu na 80—90 kilometrów na godzinę. Jak na pociąg osobowy była to szybkość maksymalna. Dziw po prostu, że lokomotywa szybkość taką wytrzymała. Była to wprawdzie doskonała maszyna, przed trzema laty zaledwie wypuszczona z fabryki lokomotyw w Chrzanowie, z fabryki, która miała swoją markę światową, ale niemniej ta szybkość była rekordowa.

Skacząc z wagonu na wagon i zachowując najwyższą ostrożność, Sorecki znalazł się na brankardzie. Mimo woli spojrzał w dół i zobaczył czyjąś głowę.

— Halo! — zawołał do człowieka w dole. — Czy pan jest prowadzącym pociąg?

— Tak! — odhuknął człowiek z dołu.

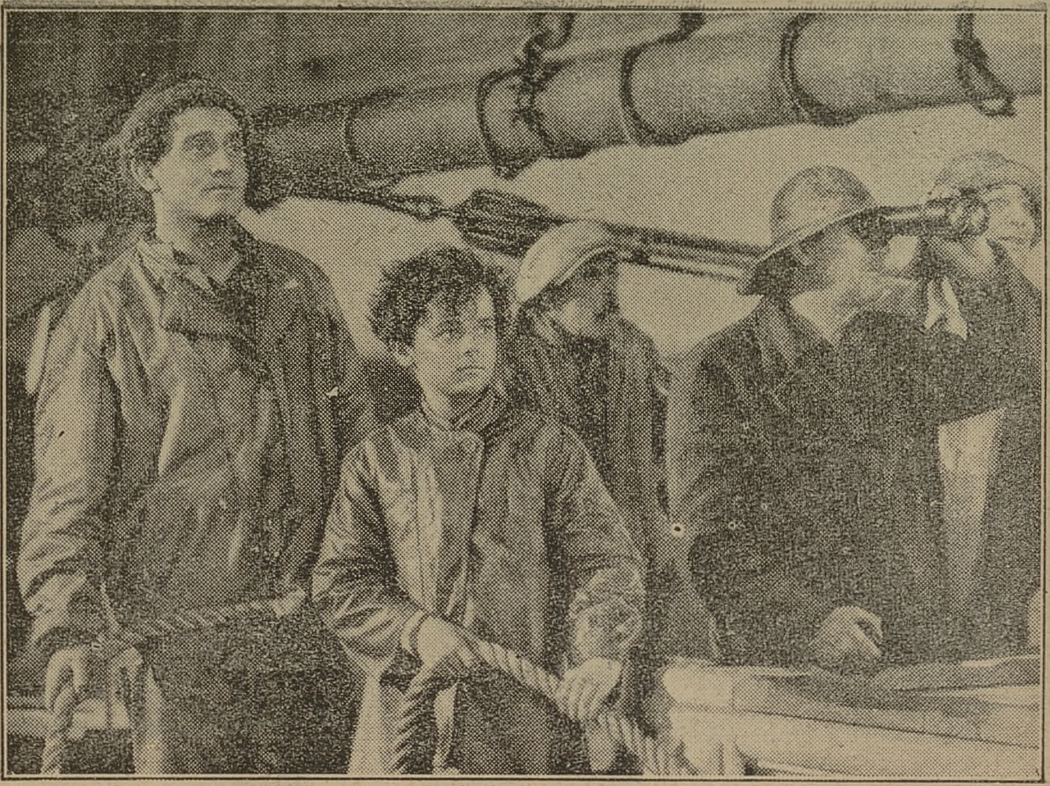
— Kim pan jesteś i co tam robisz na dachu?

— Idę zobaczyć, co się tam stało w lokomotywie. Może uda mi się zatrzymać

maszynę, zanim pociągnie nas ona wszystkich w piekło.

— Więc spiesz się pan, śpiesz się, na Boga! — usłyszał jeszcze Serocki drżący i błagalny głos za sobą, pędząc krótkimi skokami ku maszynie, którą miał już prawie tuż przed sobą.

Zwiesiwszy się z brankardu w dół, inżynier zeskoczył na tender i gramoląc się między zwałami węgla, potykając się i mażąc czarną sadzą, dobrnął w końcu do maszyny. Spojrzał na galeryjkę i oto co zobaczył: na podłodze leżał maszynista Figurski, trzymając kurczowo jedną ręką lewar biegu i jak się zdaje mimowoli go naciskał ciężarem bezwładnego ramienia, zmuszając maszynę do wydobycia najwyższej szybkości. Na nim, z łopatą pod sobą, leżał pomocnik Michałek. W jednej chwili inżynier zrozumiał wszystko i bez wahania wskoczył na galeryjkę. Ale prawie w tej samej chwili nastąpił ogłuszający huk, trzask łamanego żelaztwa, dźwięk, hałas piekielny i następnie, na jeden moment — wszystko ucichło. A potem wzbiły się w niebo przeraźliwe krzyki ludzkie, jęki rannych, bolesne łkania, histeryczne płacze — wrzawa się wzmogła, spotężniała, bijąc w niebo skargą ogromną.



W Berlinie wyświetlają nowy amerykański film pt. „Ulanue!", w którym nie występuje ani jedna kobieta. Na zdjęciu od lewej stoją trzej sławni artyści kreujący główne role. Spencer Tracy, Treddy Bartholomew i Lionel Barrymore.

XIX.

TRIUMF HINDO-POLAKA

Borowicz widział całą katastrofę oczyma wyobraźni, śledził cały jej przebieg od samego początku, bo ona jego była dziełem. W momencie, gdy pociąg osobowy wpadł na drugi pociąg, którego nie zdołano na czas usunąć z toru, Borowicz drgnął gwałtownie i jakby się zbudził z transu. Twarz wykrzywiła mu się okrutnym uśmiechem, a jego zielone oczy - pochodnie zapaliły się elektrycznymi prawie błyskami, zdawały się iskry rzucać.

— Nie będziesz jego, jak nie chcesz być moją — wyrzekł i zapaliwszy wszystkie lampy w swojej tajemniczej izbie, zadzwonił na Hindusa.

— Dario — rzekł — wyjeżdżamy za chwilę. Każ podać samochód na dziedziniec domu i wynieść wszystkie nasze pakunki.

— Słucham, Sir.

— Czy kapłani odjechali już?

— Tak jest, Sir, jeszcze dzisiejszego rana.

— A więc będą już gdzieś koło Berlina — rzekł do siebie.

— Co rzekłeś, panie? — spytał Dario, nie rozumiejąc ostatniej uwagi.

— Abyś bezzwłocznie kazał szoferowi zajechać na dziedziniec — wyjeżdżamy.

— Rzekłeś, panie — skłonił się Hindus.

Borowicz znowu został sam i wydostał ze schowka manekin Lili, fotografie jej, Stadnickiego, maszynisty i pomocnika. Na widok fotografii Stadnickiego — uśmiechnął się szatańsko i podarłszy ją na strzępy — zdeptał nogami. To samo uczynił z fotografiami maszynistów. Natomiast podobiznę Lili wziął w rękę i długo wpatrywał się z nią, z jakimś niezwyczajnym w takiej chwili u niego rozrzewnieniem.

— Mogłaś być moją — szepnął do niej — i milion w złocie mógł być mój, a tak ... — bolesne westchnienie wyrwało mu się z piersi. Ożywił się natychmiast, spoważniał i zdawał się kamienieć, zastygać w jakiejś bezwzględnej, władczej formie. — A tak — powtórzył znowu — nie będziesz moją, ale nie będziesz i jego i milion w złocie nie przypadnie ci nigdy w udziale. Jeszcze walka nie skończona. Abyś mogła podjąć tę sumę, musisz osobiście wywieść swoje prawa wobec władz cesarstwa Indii — więc przyjedziesz tam, przyjedziesz do mnie, a wtedy — wtedy już nikt i nic nie wyrwie cię z moich rąk. Zawiodły sposoby tutaj, nie zawiedzie moja moc i siła tam, gdzie ma swoje źródło...

Borowicz usiadł, nacisnął jeden i drugi kontakt elektryczny, pogasił niektóre lampy i zostawił tylko jedną niewielką lampę nad stolikiem. Położył fotografię Lili przed sobą i wziął długą szpilkę osobliwego kształtu — z głową ni to węża, ni to gorgony. Po chwili jednak odłożył szpilkę, wziął papier i napisał na nim kilka wierszy. List ten wsadził do koperty, zapieczętował i zadzwonił. Wszedł Dario.

— Wóz załadowany, panie — oznajmił Hindus.

— Poczekaj jeszcze chwilę z załadowaniem reszty rzeczy, a tymczasem zanieś ten list szoferowi i powiedz mu, by oddał go dozorcy domu z tym, aby wrzucił go do skrzynki pocztowej nazajutrz rano.

— Słucham, panie.

— Idź już i wracaj natychmiast, bo będę cię potrzebował.

— Tak jest, panie.

Kiedy służący się oddalił, Borowicz siedział jeszcze czas jakiś nieruchomo, jakby zastygły lub martwy, poczem przymknął oczy i jął powtarzać jakieś formułki zaklęć czy czegoś podobnego. Postać jego, pod wpływem zapewne tych szeptów, dźwięczących w jego ustach tak dziwnie, tak władczo, przetwarzała się, zmieniała, zdawała się zamierać, kostnieć, sztywnieć, przeobrażać tak do gruntu, że nawet rysy twarzy zmieniały swój wyraz. Wyglądał teraz jak trup bez życia, bez woli i czucia, ale nawet jako taki trup, miał w sobie cechy władcy, człowieka silnego, wiedzącego, czego chce i co może.

Wziął długą szpilkę w ręce.

— Jeszcze, jeszcze nie straciłem władzy nad tobą, moja miła — szeptały jego aż sine w tej chwili usta — jeszcze panuję nad tobą...

I po tych słowach zaczął nakłuwać raz koło razu nagie ramię Lili, wyłaniające się na fotografii z bufiastego rękawa. I jednocześnie wydało mu się, że słyszy krzyk, przeraźliwie bolesny krzyk Lili, cierpiącej nad miarę wytrzymałości nerwów swoich, ogłuszający całą kamienicę i wszystkie okoliczne domy tym wrzaskiem tak niepojęcie strasznym, że zdawał się mrozić krew w żyłach.

— Cierp, cierp, kochanko, abyś zrozumiała, że nie straciłem władzy nad tobą, że wciąż jeszcze śmiem i mogę robić z tobą wszystko, cokolwiek zechcę — powtarzał mister John, nie przestając wykłuwać na ramieniu Lili jakiegoś przedziwnego hieroglifu.

Mijały długie jak wieczność minuty, a mister John, wciąż pozostając w transie, nie przestawał wykłuwać hieroglifu na ramieniu Lili. Dopiero gdy hieroglif ten był zupełnie skończony, powlókł go jakąś niebieską farbą i teraz wystąpił on w całej swej wyrazistości. Borowicz ukrył podobiznę w portfelu, poczem odetchnął ciężko raz i drugi, drgnął konwulsyjnie i powstał, by zapalić lampy.

— Dario!

Hindus stanął na progu.

— Zabieraj resztę rzeczy i zanieś do wozu.

Służący błyskawicznie spełnił polecenie, a mister John włożył na ramiona płaszcz, obrzucił pokój ostatnim badawczym spojrzeniem i postąpił krok ku drzwiom. Potem wybiegł do przedpokoju, otworzył drzwi na korytarz i tutaj natknął się na dwie lufy rewolwerowe — Barłampa i Kulki.



Król Albanii Achmed Zogu I. zaręczył się z córką arystokraty węgierskiego, hrabianką Geraldiną Apponyi.

— Moje uszanowanie panu doktorowi — powitał go drwiąco Barłamp. — Cóż to, w podróż się wybieramy?

Borowicz cofnął się gwałtownie do sieni i zatrzasnął drzwi za sobą.

— Biegnij natychmiast do ludzi na dole daj znać, że szanowny doktor usiluje o-minąć kryminał! — krzyknął Barłamp na Kulkę. Wywiadowca stoczył się na dół jak bomba.

A Borowicz zatrzasnął drzwi, wbiegł do ostatniego pokoju swojego mieszkania, jednym szarpnięciem otworzył okno i stanął na parapecie. Spojrzał w dół i zimny pot go oblał. Opanował się jednak prawie natychmiast i zaczął szybko i zręcznie opuszczać się w dół po rynnie.

— Pozwólcie mu znaleźć się na ziemi — szepnął czyhający tu Kulka do kilku cieniów, ukrywających się w zaułkach domu.

Mister John opuszczał się zręcznie na dół, niczego nie przeczuwając i gdy już prawie dotykał nogami ziemi, nagle rzuciło się na niego kilka postaci, obezwładniło i skrępowało mocno na rękach i nogach, a dwaj olbrzymi policjanci ujęli go mocno pod ramiona.

— Uszanowanie panu doktorowi — zadrwił znowu tuż nad uchem Borowicza sarkastyczny głos Barłampa. — Bardzo mi przykro, że zmuszony jestem odpłacić się panu pięknym za nadobne, kochany eskulapie.

Borowicz milczał z głową ponuro opuszczoną na pierś.

— Jazda do komisariatu, bo czas najwyższy — skomenderował Kulka.

Policjanci powiedli mister Johna przodem. Dozorca domu, zamykając za policją bramę, przypomniał sobie coś naraz, bo zatrzymał Barłampa.

— Niechno pan tu chwilę poczeka — rzekł do niego — a przyniosę panu coś takiego, co może być bardzo ciekawe.

Po chwili stróż podał Olesiowi list, adresowany właśnie do niego.

— Skądże to macie? I skąd wiedzieliście, że to dla mnie?

— To mi dał szofer tego cudaka, którego przed chwilą poprowadzili policjanci, abym list ten wrzucił jutro do skrzynki pocztowej. A skąd pana znam? Ho, ho, przecież pana cała Łódź zna.

Oleś uśmiechnął się na tę pochwałę, rzucił dozorcy złotego i poszedł za konduktem.

Gdy przybyli do komisariatu, Borowicz zdumiał się na widok zgromadzonych tu wszystkich osób, przeciwko którym prowadził tyle czasu wojnę. A zdumienie to musiało być tak wielkie, że dostrzegł je natychmiast Sorecki i przysunął się do swojego współzawodnika.

— I cóż, szanowny doktorze, nie spodziewał się pan zastać nas tutaj w dobrym zdrowiu, prawda? — rzekł. — Wyglądamy wprawdzie szczególnie, jak pan widzi, ale to już nie nasza wina, tylko pana. Spowodował pan katastrofę pociągu przez zahipnotyzowanie maszynisty i jego pomocnika na odległość, co, przyznaję to wobec pana, jest nie lada sztuką, ale nie uśmiercił pan jednak ani mnie, ani tym mniej pana Stadnickiego, o którego najbardziej panu chodziło.

— I nie zdołał pan napiętnować swoim hieroglifem panny Krupińskiej — dodał doktor Mazurkiewicz — bo andidotum inżyniera Soreckiego dokonało swego

Komisarz Krajewski stał na uboczu i milczał dotąd. Kiedy jednak rozmowy zaczynały wkraczać na niepożądane, zdaniem jego, tory, dał znak Kulce i kazał Borowicza odstawić do aresztu.

— Jutro będziemy go przesłuchiwać, a tymczasem niechaj sobie wypocznie — odezwał się Krajewski. — Będzie miał czas zastanowić się nad wielu sprawami.

— Począwszy od zamordowania Stanisława Krupińskiego w Kalkucie, poprzez wepchanie jego naturalnego i adoptowanego syna Aleksandra w sieć szpiegowską, aż do ostatnich wyczynów na terenie Łodzi — dorzucił Barłamp.

— Adieu, kochany eskulapie — pożegnał go jeszcze Stadnicki, poczem przysunął się do uśmiechniętej, chociaż bardzo schorowanej Lili. — Liluś — rzekł, — czy nie gniewasz się na mnie za tyle przykrości, ile doznałaś przeze mnie?

— Przez ciebie? — zdziwiła się Lila. — Kochany chłopczyku, tutaj nie jesteś niczemu winien ani ty, ani ja, ani nikt z obecnych tu osób.

Porucznik przygarnął się do kochanych rączek swojej dziewczynki.

XX.

MILION KRUPIŃSKIEGO

Gwałtowne zderzenie lokomotywy z ostatnim wagonem stojącego na torze pociągu, wyrzuciło Soreckiego z lokomotywy. Opisał ogromny łuk i spadł na tor, tracąc na chwilę przytomność. Gdy się ocknął, w jednej chwili uświadomił sobie całą grozę sytuacji i zdobył się na nadludzki wprost wysiłek, aby powstać, aby się poruszyć i nie popaść znów w omdlenie. Udało mu się to po dziesiątej może próbie. Wtedy zaczął iść zwolna ku pociągowi, który próbował zatrzymać, a czego nie udało mu się na czas wykonać. Pracowało tu już pogotowie kolejowe, idąc z pomocą pokaleczonym i przerażonym pasażerom. Sorecki zaczął wołać na swego towarzysza, ale długi czas nikt nie odpowiadał. Dopiero gdy nadszedł nad środek pociągu, wciąż wołając, odezwał się gdzieś z głębi wagonu dźwięczny głos porucznika:

— Tutaj jestem, tutaj, inżynierze!

I Stadnicki, porwawszy walizy, wyskoczył na ziemię, biegnąc ku Soreckiemu.

— Boże, jak pan strasznie wygląda! — zawołał zdumiony Jerzy. — Czy pan nie ranny?

— Zdaje się, że nie — zostałem tylko ogłuszony i piekielnie potłuczony. Ale to głupstwo — nie mamy ani chwili do stracenia. Panie, czy pan wie, co się stało? Dlaczego ten pociąg pędził jak szalony?... Oto zarówno maszynista, jak i jego pomocnik zostali uśpieni hipnotyzmem na odległość.

— Czy... znowu przez niego?

Sorecki skinął potwierdzająco głową.

— Chodziło o pana i tylko o pana. Borowicz musiał wiedzieć, że pan jedzie tym pociągiem i dlatego odważył się na to szaleństwo. Ale — nie czas na wyjaśnienia. Jedźmy jak najprędzej do mieszkania pana narzeczonej, bo przeczuwam coś złego.

Stadnicki bez słowa pobiegł za Soreckim. Wskoczyli do taksówki i pomknęli ku miastu. A zaledwie znaleźli się przed domem Krupińskich, gdy straszliwy krzyk rozdarł ciszę późnej nocy.

— Słyszy pan — rzekł nerwowo Sorecki. — Ten podlec wykonuje teraz swoje praktyki na tej biednej kobiecie.

Brama domu była otwarta, więc obaj panowie pomknęli co sił na górę. Nie dzwoniąc, nie pukając, wpadli do pokoju Lili. Sorecki przypadł od razu do łóżka chorej i wpatrzył się w nią takim wzrokiem, jakby chciał ją nim pochłonąć. Przytem wykonywał rozmaite ruchy, szeptał jakieś zaklęcia, wodził rękami po całej postaci Lili, a chora, jakby czując jego potężną opiekę i obronę, jakby doznając bezmiernej ulgi — ucichła natychmiast i oddychała swobodnie i lekko.

(Dokończenie w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

69)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Od ich śmierci nie usłyszałem wprost ludzkiego słowa. Wuj tylko łajał mnie, a jego urzędnicy dzielnie mu wtórowali.

Najbardziej prześladował mnie jednak mój kuzyn Pitt.

Był on o kilka lat starszy ode mnie i nienawidził mnie bardzo.

Przysparzał mi tysiące nieprzyjemności i obchodził się ze mną w ten sposób, że życzyłem sobie raczej tortury lub śmierć.

Tak upłynęło kilka lat życia wprost nie do zniesienia.

Tęskniłem do chwil, w której będę pełnoletni, aby móc opuścić biuro swego wuja.

Nie nastąpiło to jednak tak prędko.

Wreszcie dostałem się w złe towarzystwo.

Wychodziłem w nocy potajemnie z domu i włóczyłem się po najgorszych szynkach.

Pitt wymyszkował to i dowiedział się o długach, które robiłem.

Gdy mnie mój wuj do siebie przywołał, przeczuwałem już co będzie. Myślałem, że mnie wypędzi. Ale omyliłem się. Miałem teraz jeszcze gorszą niewolę.

Mój wuj przywitał mnie słowami: Złodzieju, przychwycono cię!

Zdziwiony patrzyłem na niego, ale ta moja niedomyślność rozgniewała go jeszcze bardziej.

W niepohamowanym gniewie wyrzucał mi, że znowu okradłem kasę.

Dowiedziałem się też, że Pitt sam raz mnie szpiegował, a drugi raz jeden z jego służby.

Usprawiedliwiałem się, ale nadaremnie.

Czując się niewinnym, pytałem się, dlaczego nie przyłapał mnie Pitt na gorącym uczynku, ale na to nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Tłumaczyłem się też, że najlepszym dowodem, że nie kradłem, są moje długi. Ale wuj odrzekł szyderczo, że to nie jest żadnym dowodem, gdyż sumy kradzione nie starczyły mi tylko, aby pokryć wszystkie koszta moich wybryków.

Pitt i jego słudzy przysięgali nawet, że mnie przyłapali na kradzieży.

Wuj pozostawił mi wobec tego dwie drogi do wyboru: albo pójść do kryminału, bo pozory były przeciwko mnie i sąd byłby mnie z pewnością zasądził, albo pozostać w jego biurze jeszcze tak długo, póki skradzionych rzekomo pieniędzy nie odrobię.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zamiast niezasłużonej hańby wybrać jeszcze kilka lat niezasłużonej niedoli.

Minęła zatem pora, w której zostałem pełnoletnim, ale o wolności długo jeszcze nie mogłem marzyć. Zaczęły się dla mnie na nowo ciężkie chwile pracy wśród ludzi, którzy spoglądali na mnie nienawistnym wzrokiem, a za krwawe moje trudy odpłacali mi złośliwością i podstępem.

W całym domu wuja jedna była tylko osoba, która patrzyła na mnie serdecznie i życzliwie. Była to Lizia, pokojówka wujenki. Dziewczyna bardzo ładna, pozyskała sobie najgorętsze moje uczucie. Uwielbiałem jej postać przecudną, a w głębi serca czułem dla niej niewymowną wdzięczność, boć przecie to była jedyna na świecie osoba, która darzyła mnie tak potrzebnym człowiekowi ciepłem uczucia. Najszczęśliwszym byłem w chwilach, kiedy o zmroku mogłem z nią porozmawiać na schodach w domu wuja. Śniliśmy piękne sny przyszłości. Układaliśmy sobie, że kiedy niewola moja się skończy, pójdziemy oboje z tego domu i pobierzemy się. W tej nadziei, że kiedyś przecież czeka mnie żywot słoneczny w miłości z ukochaną, nabrałem otuchy do życia. Pracowałem chętniej i z ufnością patrzyłem w przyszłość. Już, już dobiegałem końca swej niedoli, już zdawało się, że maluczko, a będę wolny i z najdroższą swoją dzieweczką pójdę w świat, swobodny, gdy wtem nowy grom uderzył w moje szczęście.

Pewnego razu przyłapałem Lizię na tym, jak gdzieś w zakątku kurytarza dawała się pieścić i całować Pittowi. Z wściekłością rzuciłem się na nędznika i pociągnąłem go do odpowiedzialności. Odpowiedział mi szyderczo i wyzywająco, ale uciekł zaraz.

Z goryczą spytałem teraz Lizię, dlaczego pozwoliła na to.

Po raz pierwszy odkryłem w niej wtedy rys niesympatyczny.

Oświadczyła mi, że nie może synowi swojego państwa zabronić tak niewinnych żartów.

Czułem się głęboko dotknięty. Ideał mój strącony był z piedestału.

Cofnąłem się od niej na czas dłuższy, ale po pewnym czasie stęskniony wróciłem do niej.

Ale Lizia wydała mi się wtedy dziwnie zmieniona. Była jakaś chłodna i zimna, sztywnie przyjmowała moje pieszczoty, a kiedy mówiłem o przyszłości, wyśmiewała mnie.

Tak mijały znowu miesiące, w których czułem się bardzo nieszczęśliwy. Zachowanie się Lizi przejmowało mnie chłodem do szpiku kości, ale miłości mojej nie ostudziło. Zawsze jeszcze miałem nadzieję, że ona się zmieni. Jednego wieczora powziąłem zamiar podkraść się do jej pokoju i tam rozmówić się z nią otwarcie. Było coś między nami niejasnego, co nas dzieliło. Chciałem to oświetlić i wyjaśnić.

Pokój mój był na trzecim piętrze, izdebka Lizi na drugim. Zeszedłem na dół, chciałem zapukać do jej drzwi, gdy usłyszałem szmery i głosy.

Zacząłem nadsłuchiwać.

Najwyraźniej słyszałem głos Lizi. Błagalnym tonem prosiła kogoś, żeby jej nie unieszczęśliwiał i nie hańbił.

Pocieszał ją ku memu największemu zdumieniu i przerażeniu głos mego kuzyna, Pitta.

Obiecywał jej złote góry i obsypywał najczulszymi nazwami.

Natychmiast zrozumiałem całą sytuację i wtargnąłem do pokoju. Tam leżała Lizia u nóg Pitta obejmowała go za kolana.

Bez przytomności rzuciłem się na nędznika i chwyciłem go za gardło. Byłbym go udusił, gdyby nie Lizia, która go uratowała. On rzucił mi spojrzenie pełne nienawiści i rzekł:

— Skoro tak dbasz o jej honor, to się z nią ożeń, żeby pozostała bez plamy. Nie będę żałował na wyprawę dla niej.

A więc to była prawda? Więc narzeczona moja, którą ja tak czciłem, jak bóstwo, padła ofiarą tego rozpustnika?

Jedno spojrzenie na Lizię i twarzyczkę jej stroskaną, wróciło mi przytomność.

— Nie — odrzekłem stanowczo — nie będę po raz drugi pokrywką twoich zbrodni. Nie ożenię się z nią. Ty musisz ratować jej honor. Lizio! zwróć się do jego ojca i wyznaj mu wszystko. Sprawiedliwość musi ci być dana.

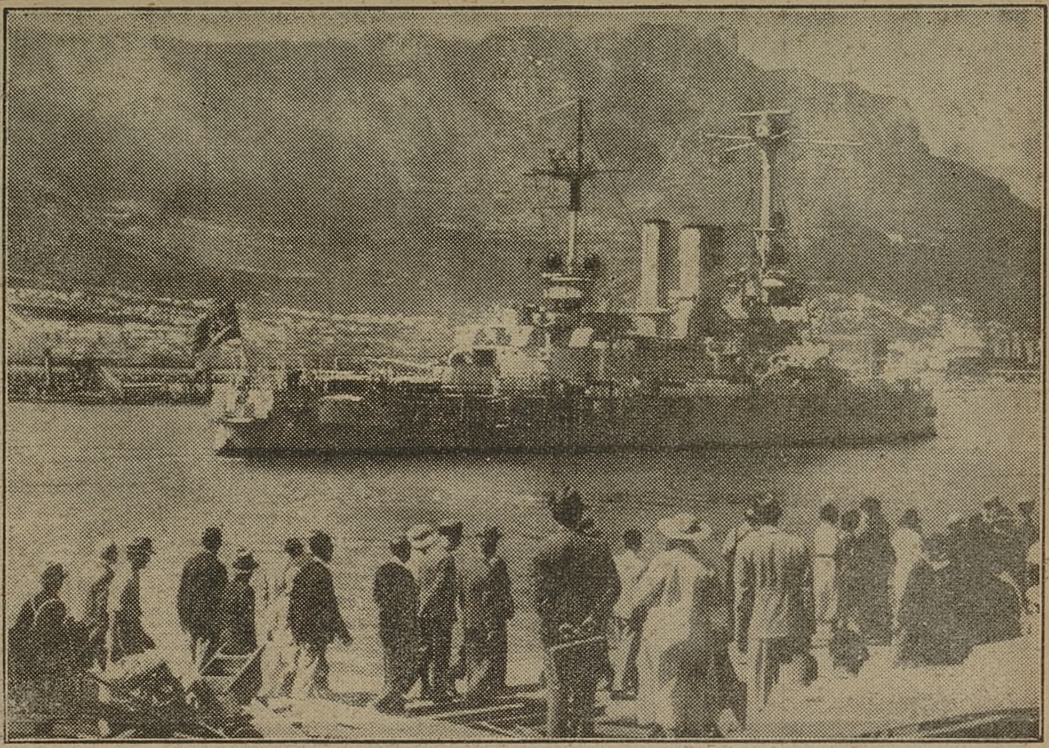
Słowa te moje wznieciły straszną kłótnię. Zaczęliśmy się bić i rozstaliśmy się dopiero, gdyśmy obaj już byli niezdolni do walki.

Od tego dnia nie przemówiłem ani słowa do niego, ani do niej.

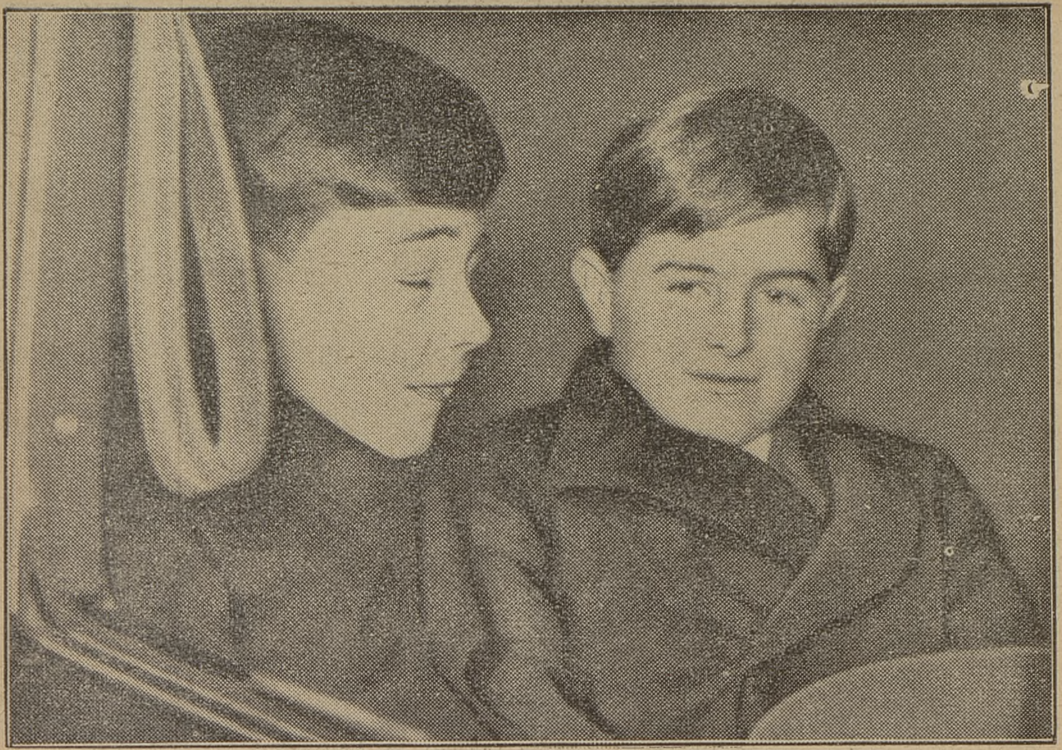
Ona w kilka dni później opuściła dom mego wuja.

Ukradkiem śledziłem za nią i po kilku dniach dowiedziałem się, że pewnego ranku znaleziono ją nieżywą w łóżku. Lekarz skonstatował, że się otruła. Rozpacz popchnęła ją do samobójstwa.

Pełen dzikiej rozpaczy wracałem z nad jej łoża. Jedna myśl mnie ożywiała: Pittowi rzucić w twarz oskarżenie o morder-



Niemiecki okręt szkolny zawinął na Kapstadt.



Dwaj młodsi bracia młodocianego króla Piotra jugosłowiańskiego, Tomisław i Andrzej, w drodze z dworca do hotelu w Londynie, gdzie mają jakiś czas pobierać nauki.

stwo! Gdy wkraczałem do ponurego domostwa mego wuja, zobaczyłem światło w oknie pokoju, w którym była kasa. Wuja nie było, godziny biurowe dawno się skończyły. Kto to mógł być?

Wszedłem do środka i zobaczyłem Pitta przy zbrodni, o którą on mnie ongi był oskarżył.

Podrobionym kluczykiem otwierał kasę i okradał rodzonego ojca.

Na widok nędznika, który stał się przyczyną tylu nieszczęść, fala gniewu zalała mi mózg. Wydobyłem nóż, który nosiłem zawsze przy sobie i z okrzykiem:

— Złodzieju! morderco! — rzuciłem się na niego.

— Lizia nie żyje! — zawołałem — a ja stoję tu, jak mściciel jej cieniów!

Powstała między nami straszliwa walka. Na wołanie Pitta o pomoc zbiegli się domownicy, ale już było za późno, bom go przed chwilą zranił był śmiertelnie.

Zawleczono mnie do więzienia.

Pitt żył jeszcze kilka dni, które wyzyskał na to, aby oszczerstwami zbrodnię moją o wiele jeszcze powiększyć.

Zeznał, że to on mnie zastał przy okradaniu kasy i że ja rzuciłem się na niego, gdy mnie chciał odpędzić od kasy.

Wszystko, co mogłem naprowadzić na moje uniewinnienie, były tylko gołosłownym twierdzenie, którego nie mogłem poprzeć niczyim świadectwem. Uznawano za prawdziwe wszystkie orzeczenia Pitta, zwłaszcza, że on w kilka dni potem umarł.

Jako przewrotny zbrodniarz, oczerniany nadto przez wuja, zostałem skazany na śmierć, który to wyrok zmieniono potem w drodze łaski na dożywotne więzienie. Dwanaście lat przesiedziałem w więzieniu, aż raz udało mi się umknąć.

Straszne to było życie, które prowadziłem tu w dziewiczym lesie, ale było to rajem w porównaniu z życiem więziennym. Przynajmniej wolny byłem. Oddychałem świeżym powietrzem, nie słyszałem brzęku kajdanów, nie widziałem wokoło siebie zamykających mnie ponurych murów. Czyż teraz muszę wracać do więzienia? Wolałbym śmierć, niż to! Panie! Czyż litość wasza nie jest większa niż poczucie obowiązku?

Hammerling zamilkł i w dzikim bólu zakrył twarz wychudłemi rękoma.

Zeznania tego zbrodniarza wzruszyły wszystkich słuchaczy.

Ze współczuciem patrzyli nań wszyscy.

— Żal mi ciebie — rzekł pan Hiller — wszystko co powiadasz wygląda zupełnie szczerze i prawdziwie; mimo to jednak nie mogę zaniechać najświętszego obowiązku obywatela, aby zbiega oddać na powrót w ręce władzy.

Powiedział to z ponurą prawie energią.

Hammerling westchnął ciężko, a Frania szeptała ojcu prośby za biedakiem. Uczony jednak kiwał tylko głową przecząco.

Gdy Leon go zaczął prosić, odpowiedział mu:

Pan nie jesteś obywatelem amerykańskim, to też nie możemy się zgadzać na tym punkcie.

Nareszcie udali się wszyscy na spoczynek.

Więźniowi związano ręce, a Leon objął straż nad ogniem.

Siedział zamyślony i wpatrywał się w płomienie ogniska.

Rozważał, czy może co pomóc temu biedakowi, czy też nie.

Zdawało mu się, że postąpiłby sobie bardzo nieładnie wobec Hillera, gdyby więźniowi ułatwił ucieczkę, to znowu współczucie i litość dla nieszczęśliwego brała w nim górę.

Regularne oddechy wkoło były dowodem, że wszyscy spali. Więzień tylko wzdychał cicho i żałośnie.

Zdecydowanym ruchem Leon wstał i cichutko zbliżył się do zbrodniarza.

— Psst! — szepnął mu kładąc palec na usta i przeciął więzy krępujące jego ręce i nogi i pomógł mu wstać.

Więzień ledwo mógł powstrzymać okrzyk radości.

Leon dał mu swój pistolet i woreczek z amunicją na drogę.

— Nic nie mam nadto — szepnął — bo wszystko co jest, należy do pana Hillera. Idź prędko! Życzę ci z serca, aby ci się szczęściło.

— Nie pójdę — szeptał dysząc ze wzruszenia nieszczęśliwy — zanim ci nie podziękuję, dobrodzieju mój i zbawco! — Niech ci Bóg stokrotnie wynagrodzi. Każde moje tchnienie będzie modlitwą za twoje szczęście! Ale powiedz pan — prawda, że pan jest biedny?

— Biedny, jak żebrak — odpowiedział Leon zaciekawiony.

— A pragniesz pan bogactwa? — badał dalej szeptem więzień.

— Po to przybyłem tu do Ameryki — odpowiedział Leon — a szczęście mego życia zależy od tego, czy zdobędę taki majątek, aby stać się niezależnym.

— Ja panu wskażę stosy skarbów! — szeptał namiętnie więzień — a mnie, pogardzonemu pariasowi społeczeństwa, będziesz pan zawdzięczał swoje szczęście! Będzie to nagrodą za wasze dobrodziejstwo, któreście mi wyrządzili.

Słuchaj więc pan tajemnicy, która pana zrobi posiadaczem milionów. Umierający, którego znalazłem w lesie i któremu przyszedłem z pomocą, zwierzył mi ją. Dla mnie ona jest niczem, bo ja nie mogę z niej korzystać. Oddaję ją więc panu i niech ci służy w nagrodę za to, żeś mi wrócił wolność. Niech to panu przyniesie błogosławieństwo.

Pójdźie pan wprost na północ, aż do Górnej Kanady. Tam gdzie źródła rzeki Ottawy tworzą deltę i wysepki i tam osiędzie pan w ponurej samotnej okolicy. Nic to! Ziemia ta zawiera niewyczerpane źródła ropy naftowej. Niech pan tam grzebie, a w krótkim czasie będzie pan krociowym bogaczem.

Hiller poruszył się we śnie, a Hammerling zbladł ze strachu. Upewnił się, że przyrodnik śpi dalej, poczem prędko i namiętnie ucałował ręce Leona.

— Dzięki ci, panie! — szepnął jeszcze raz — a niech ci Bóg spuściznę moją zamieni w niewyczerpane źródło bogactw i błogosławieństwa!

Zanim Leon mógł odpowiedzieć, znikł mu Hammerling z oczu.

Leon nie budził już Billa, który go miał zastąpić na warcie, aby ucieczka więźnia zawcześnie nie została odkryta.

Siedział przy ognisku i rozmyślał nad ostatnimi słowami zbrodniarza.

Do Górnej Kanady, gdzie źródła Ottawy tworzą deltę i wysepki.

Niewyczerpane bogactwa — czyżby w istocie? Czyżby miał być w rzeczy samej tak blisko swego upragnionego celu?

Słodkie sny przyszłości kołysały duszę jego marzeniami miłosnego szczęścia u boku ukochanej małżonki.

ROZDZIAŁ CCLVII.

W eleganckiej żałobie, w usposobieniu jednak wcale nie żałobnym, przechodził pewnego razu po południu baron Egon ulicami Wiednia.

Nagła śmierć teściowej bynajmniej go nie wzruszyła. Nosił wprawdzie wszystkie oznaki smutku i żałoby, ale tryb życia jego pozostał niezmieniony. Jak dotąd, tak i teraz, był to jeden nieprzerwany łańcuch poszukiwań, za najwyuzdańszą rozkoszą.

Środków po temu na razie nie brakowało mu jeszcze, używał zatem, i to tak

gorączkowo, jak używa człowiek, który chce zagłuszyć sumienie.

Szedł do Grety.

Od czasu owego wieczora u Engelbrechta, została ona jego metresą. Humor jej i dowcip jak i niezwykła piękność, bawiły zblazowanego dandysa. Przy tym była o tyle sprytna, że nie zawsze była dlań równie czuła. Była też bardzo sprytna i umiała go zabawić. Przebaczał jej więc, że pod coraz to nowymi pozorami wymuszała od niego pieniądze w gotówce, lub kosztowne podarki. Bawiło go to nawet, że ona dowcipnie się do tego zabierała.

Greta nie mieszkała już w dawnym mieszkaniu na Schönbrunnerstrasse, lecz miała eleganckie pokoje na Schwarzenbergplatz, naturalnie, że Egon płacił za nie.

Gdy baron zadzwonił, otworzyła mu, schludnie ubrana, ale bardzo brzydka pokojówka. Z salonu dolatywał wesoły śmiech. Spytał więc Egon zaciekawiony, kto tam jest.

— Hrabia Brisen, proszę pana barona — odpowiedziała służąca.

W tej samej chwili wszedł nowy gość. Był to hrabia Mikołaj Sellenten, który także zaszczycał Gretę swymi odwiedzinami.

— Jak się masz! — przywitał go Leon.

W salonie przyjęła ich Greta w bardzo pięknej toalecie.

Hrabia Brisen na przywitanie uściskał ich dłonie i wyraził nadzieję, że wieczór spędzą bardzo przyjemnie.

Hrabia Brisen i Sellentin, znani są szanownym czytelnikom z Mediolanu, jako adoratowie baronowej Wimpfen.

— Coś mi przyniósł. Egon? — spytała Greta żartobliwie, przesuwając rękę pomiędzy jego rzedniejące już włosy. Nic? Ani centa nie wydałeś, żeby biednej Grecie sprawić przyjemność? O, ty człowieku bez serca. To już hrabia Mikołaj jest o wiele lepszy. Popatrz, jak się szarpnął.

Pokazała mu na ramieniu jeszcze jedną kosztowną bransoletkę.

— Ależ ty niezadługo będziesz wyglądać jak wystawa jubilerska — śmiał się Egon.

— Jeszcze mi wiele brakuje, odpowiedziała Greta wesoło.

— Czy oczekujesz jeszcze kogo? — spytał Egon.

— Nie odpowiedziała. Lena zła jest na ciebie, żeś ją upił, a potem przez kelnera odesłał do domu. Mówiła, że znikła jej wtedy bransoletka i pugilares. Co do pugilaresu, to już mniejsza, kłamała zresztą, pewnie tam były 2 centy i kilka guzików. A kogoś jeszcze chciał mieć tu zaproszonego? Powiedz, a poszlę zaraz starą Grammlową do nich i każda musi przyjść, choćby jedną nogą była już w grobie.

— Ja nie tęsknię za twoimi koleżankami z baletu — odpowiedział Egon — ale wy może, tu zwrócił się do przyjaciół.

— Panna Greta zastępuje nam cały personel baletu, zapewnił elegancko hrabia Brisen, a hrabia Sellentin potakiwał żywo.

— A więc możemy iść do stołu? — spytał Egon.

— Przypuszczam, że tam już wszystko gotowe — odrzekła Greta, ale wolę się spytać, żebyśmy przy stole nie potrzebowali czekać, bo ty z niecierpliwości skakałbyć do sufitu.

Zadzwoniła, a na głos dzwonka zjawiła się pani Grammel, bardzo porządnie ubrana, ale w podejrzany sposób zarumieniona i z błyszczącymi oczyma.



Piękny obrazek zimowy z krajobrazu Niemiec.

Dygnęła nisko i spytała, czy wolno jej spytać w pokorze o zdrowie jaśnie panów.

— Pytaj, ile chcesz — odpowiedział jej Egon, ale nie żądaj, abyśmy ci odpowiadali.

— Hi, hi, hi, śmiała się stara, która stawała się tym pokorniejsza, im bardziej kto nią pogardzał — jaki pan baron w łaskawości swojej żartobliwy!

— A ty pijaczko stara — zawołała Greta — musiałaś wypić przynajmniej jedną flaszkę szampana! Milcz, nie przysięgaj, bo widać po tobie żeś pijana. Gadaj! Czy z restauracji wszystko już jest?

— Tak jest, Gretusiu, wszystko — zapewniała słodziutko Grammlowa — można podawać.

— Więc każ podawać — rozkazała Greta — a pamiętaj, że ty masz jeść z nami przy stole.

— Zbyt wielki honor dla mnie — piszczała Grammlowa.

— Co tam honor! — ucięła Greta — chcę ciebie mieć na oku. Jakbym cię samą zostawiła w kuchni, smakowałabyś z każdej potrawy i upiłabyś się jak bydlę. Jedz z nami i koniec.

Poprosiła panów do stołu i spodziewała się, że który z nich poda jej ramię.

Ale Egon wziął pod ramię obydwu panów i rzekł prawie szorstko:

— Chodźcie chłopcy, Greta znajdzie drogę sama.

Greta poszła za nimi trochę nadąsana, ale w jadalni, małej lecz eleganckiej, mina jej się rozjaśniła.

Owalny stół nakryty był bardzo ładnie. Greta siedziała między gośćmi, naprzeciw niej baron, a dalej na samym końcu stołu stara Grammlowa.

Wieczerza była świetna i wina wyborne, a Greta nie pozując na wielką damę z miłym wdziękiem pełniła funkcje gospodyni. Nastrój był wesoły. Egon mierzył z Grammlową dowcipami nie bardzo wykwintnymi. Zabierał jej z przed nosa flaszkę, z której chciała sobie dolewać, a gdy ona łakomym wzrokiem spoglądała na służącego, żeby jej podał raz jeszcze, baron kiwał na niego, żeby nie podawał. Bawił się jej zawodem, a na koniec nasypał jej soli do kremu owocowego i zmusił ją do jedzenia tak przyrządzonej potrawy.

Kontent był bardzo z tego swego dowcipu i trząsł się ze śmiechu, gdy stara krzywiła się niemiłosiernie.

Humor jego ożywił resztę towarzystwa. Krążyły żarty i dowcipy i wybiegały często poza granice przyzwoitości.

Nareszcie wstała Greta i uderzywszy trzonkiem nożyka o szklankę, wzięła ją do ręki i rzekła:

Pozwólcie panowie, że podziękuję wam za zaszczyt, którzyście mi sprawili swą obecnością. Mam nadzieję, że nieraz jeszcze mnie zaszczycicie i dziękując wam, piję wasze zdrowie.

Uderzyli szklankami i Greta zawołała piskliwie.

— Patrzcie, jak uczciwie Greta pije!

Wychyliła kubek do dna, przewróciła na znak, że nie zostało ani kropli i cisnęła kubkiem o sufit, tak że posypały się na ziemię drobne odłamki szkła. Panowie zrobili to samo.

Pokój napełnił się brzękiem tłuczonego szkła, które spadało do naczyń, na stół i na czepek Grammlowej.

Egon brał się za boki od śmiechu.

— To ładna zabawa! — wołał ciężko już obracając językiem i brał coraz to inne szklanki ze stołu i rzucał je o sufit.

Wreszcie rzucał i talerze, a za jego przykładem i tamci panowie.

Greta nie piła tyle, co oni, ale umyślnie więcej jeszcze niż oni robiła wrzasku i brzęku. Rozpoczął się ogromny wrzask, pisk, brzęk i zamieszanie. Egon, Selentin i Brisen, a z nimi Greta chwytali co było pod ręką i jakby w szale jakim ciskali o sufit.

Stara Grammlowa wrzeszczała tylko, gdy kosztowny jaki przedmiot tłukł się, niszczył, ale wrzask jej niknął zagłuszony piskiem ogólnym.

W jadalni zjawiła się służąca, ale naprożno usiłowała coś powiedzieć.

Nikt jej nie słuchał.

Cofnęła się więc i wpuściła jakiegoś dużego człowieka w liberii.

Ten zuchwale przybliżył się do stołu.

Na jego zjawienie się wrzask ucichł i wszystkie oczy zwróciły się na niego.

— Pan lejtenant Zwilk — rzekł przybyły bez przywitania — każe prosić, że-



Orszak weselny wracający z bazyliki watykańskiej po uroczystości zaślubin bratanki Mussoliniego — Rosy Mussolini. Za parą młodą kroczy Mussolini.

byście się państwo spokojnie zachowywali, bo każe zawołać policję.

— Niech lepiej sam tu przyjdzie pan lejtenant — zawołała Greta — tu jest bardzo przyjemnie.

— Pan lejtenant nie ma nam nic do gadania — rzucił przez nos Egon — powiedz mu, żeby pilnował swoich rekrutów. Ja jestem baron Sturmfeder i z tego lejtenanta nic sobie nie robię.

— Za kwadrans może tu być policja — odpowiedział spokojnie służący i cofnął się znowu bez ukłonu.

— Arogant! — zawołał Egon, nie mówiąc czy ma na myśli porucznika, czy jego sługę — popsuł mi całą zabawę.

— No wiesz co, baronku kochanku — pochlebiała Greta — co prawda, to dość już było tego. Popatrz, lustro stłuczone na miazgi, moje wazy kosztowne i flakony kaput! No, ale to nic — panowie mają pieniądze, to zapłacą.

— Tak jest, zapłacimy! — zawołał Sellentin — ale zbombardujemy jeszcze.

To rzekłszy, zabrał się do rzucania najdroższą porcelaną.

— E! kiedy to nie daje brzęku! — mitygowała go chytra Greta — a zresztą ten łotr gotów nam naprawdę policję zesłać na kark. Chodźmy lepiej do salonu na kawę. To nam dobrze zrobi.

— Ale flaszki weźmy ze sobą! — wołał Brisen ciężko obracając językiem.

— Naturalnie — potwierdziła Greta.

Z flaszką w jednej, a lampką w drugiej ręce otworzyła pochód, a panowie za jej przykładem tak samo szli za nią chwiejnym krokiem.

W salonie Egon rzucił się jak długi na kanapę, a Brisen i Sellentin na fotele. Greta zadzwoniła i kazała podać kawę i papierosy i sama paliła także.

— Więc co robimy? — spytał Egon, którego czarna kawa trochę otrzeźwiła.

— Zagrajmy w ruletkę — zawołała Greta — i kazała zdjąć serwetę ze stołu i przynieść sobie kredę.

Na lśniącej politurze stołu wyrysowała szemat i spytała z błyskiem chciwości:

— Czy ja mam być bankierem?

— Ależ naturalnie! dobrze! — zawołali panowie.

— Ach! — przypomniała sobie Greta — ależ ja nie mam ani centa, żeby dać do banku! Mój złoty baronku!

— Ty mi pożyczysz? Prawda?

— Ależ naturalnie — wybełkotał Egon. Wyjął z kieszeni portfel i chciał wyciągnąć z niego banknot, ale papiery i liczby skakały mu przed oczyma.

— Masz, weź sobie sama — rzekł dziwnie gardlanym tonem.

Greta skwapliwie chwyciła portfel i przez chwilę w nim szperała.

— Marną pięćdziesiątkę biorę sobie — rzekła pokazując mu banknot i oddała mu portfel.

Baron nie spojrzał nawet na papier, a gdyby był nawet popatrzył, nie byłby poznał, jaki banknot Greta trzyma w ręku na widoku, a jaki poza nim drugi, a większy — ukrywa.

Pijany był taki, że ledwie się trzymał.

— Siadać! — zakomenderowała baletnica.

— Ja stawiam na 17 — zawołał baron — to moja najszczęśliwsza liczba.

— Czy na 17-go się ożeniłeś? — spytał Sellentin.

— O nie! — odpowiedział Egon — na 17-go mój kuzyn Wildenstein umarł.

Śmiał się tak dziko, że Sellentin uderzony tonem i słowami jego otrzeźwiał na chwilę ze zdumienia.

Ale Greta upominała, żeby pić i wcześnie utonęło wspomnienie poprzedniej chwili.

Rozpoczęła się bardzo wysoka gra, a pijani panowie stawiali całe stosy banknotów i złota.

Nie mieli jednak szczęścia.

Greta ściągała do siebie coraz to większą ilość wygranych pieniędzy. Od czasu do czasu tylko ten lub ów wygrywał trochę.

Greta pilnowała, żeby gracze się nie wytrzeźwili, a tego co wygrała nie chowała na stole, lecz chowała zawsze do kieszeni.

Baron Egon konsekwentnie stawiał na 17-kę nie patrząc nawet ile stawia. Tamci dwaj stawiali na różne liczby i dziwili się, jak ich stawka znikała w kieszeni pięknego bankiera.

— Stawiać, baronku! — upominała Greta, gdy właśnie ściągnęła z siedemnastki pokaźną sumę.

Baron posłusznie sięgnął do kieszeni, potem wybełkotał zdziwiony:

— Psiakrew! nie mam już ani centa! Splądrowałaś mnie, Gretko!

— Musiałeś mało mieć przy sobie — odpowiedziała Greta — albo może nie chcesz więcej ryzykować.

Sturmfeder zanadto był pijany, aby ją zrozumieć, ale hrabia Brisen nagle otrzeźwiał.

Odsunął od siebie kieliszek i zadzwoniwszy, kazał sobie podać wody.

Wypił dużą szklankę, trochę wody nalał na chusteczkę i przytknął ją do rozpalonego czoła.

To go trochę postawiło na nogi i pozwoliło mu patrzeć jaśniej na świat.

W portfelu swoim zobaczył poważną lukę.

— Myślę, że może przestaniemy grać i pójdziemy już do domu — zaproponował.

— Już? — zdziwiła się Greta — jeszcze kwadransik mały.

— Nie, musimy iść — rzucił Egon — ale musisz mi pożyczyć tyle, abym miał na napiwek dla twojej sługi i na fiakra do domu.

— Ile ci dać? — spytała Greta nie bardzo chętnie.

— No, dziesięć reńskich rzucił baron.

— Co? dziesięć reńskich?! zdziwiła się Greta — a któż widział tak trwonić pieniądze! Toż z torbami pójdziesz, jak się tak będziesz rozrzucał!

Dała mu 5 reńskich i pożegnała ich.

Panowie z trudem naciągnęli zarzutki i zeszli po schodach, chociaż Grammlowa i służąca prowadziły ich i świeciły im. Grammlowa wyspała się już i była całkiem trzeźwa.

Zakradła się do salonu.

Tam Greta sortowała i liczyła stosy banknotów.

— Maluczko! — szeptała Greta — a będę mogła wkrótce przenieść się w dobrze zasłużony stan spoczynku.

— Gretusiu! — pisnęła Grammlowa — a dla mnie nic z tych wszystkich skarbów nie przeznaczasz?

Baletnica rzuciła jej setkę.

— Masz! — rzekła — ale milcz!

— Naturalnie — zapewniała stara — ale moja złota Gretko, ty jesteś taka bogata! Podaruj mi jeszcze jedną złotówkę.

— Nic z tego — ucięła Greta — ty byś mi zabrała ostatnią koszulę.

Wysypała na ziemię papierosy z eleganckiej kasetki i napełniła ją pieniędzmi, zamknęła ją na kluczyk i śpiewając ochrypłym głosem, poszła do sypialni.

— Śpiewaj, śpiewaj! — syknęła za nią Grammlowa, ze wzrokiem pełnym nienawiści — przyjdzie na ciebie godzina, że będziesz wyć, nie śpiewać!

(Ciąg dalszy na stronie 133.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

SZCZĘŚCIE PRZYJDZIE

Inko W. z Fordonu.

Nie płacz, Inko, życie jest cudne,
jak boży raj,
a miłość kwiatem życia.
Znów przyjdzie do nas wiosna,
przyjdzie maj,
szczęście wyjdzie z ukrycia,
roztoczy barwy tęczowe,
urzecze nas,
porwie...
A my pokłonim się szczęściu wtedy
w pas
i rozpoczniemy życie nowe.
Nie płacz, szkoda łez.
Znów będzie wiosna,
rozkwitnie bez,
rozpachnie świat...
Pójdziem wyrajem na świata kres,
hen, daleko, gdzie radość
wśród ludzi chodzi,
gdzie kwitnie życia kwiat
i słonko boże nie zachodzi.
Nie płacz, szczęście przyjdzie,
bośmy młodzi...

Adam Czekalski.

PROMIENNĄ

„Anetka III". Najdroższe Moje Dziecko — nie mam słów na podziękowanie Ci za cały Twój ostatni list i ten śliczny prezent! Powiem Ci, Dziecino, że nikt jeszcze nie wzruszył mnie tak dokładnie, jak Ty dwoma prostymi, a tak za serce chwytającymi zdaniami: „Bądź przekonana, że Cię kocham za tą pracę tak delikatną, a zarazem tak trudną, jak kojenie serc ludzkich — i dlatego zwę Cię „Mateczką".

Może się zdarzyć, że i Ciebie dotknie los okrutny; wszyscy Cię opuszczą i zostaniesz sama. W oczach z bólu zabłysną łzy. Ręką szybko sięgniesz po chusteczkę, aby je otrzeć i może to właśnie będzie jedna z tych, które dziś własnoręcznie ozdobione, przesyłam. Wówczas wspomnisz, kto ją ofiarował i to wspomnienie otrze łzy — nie ta szmatka".

Dziecko kochane, nie wiesz może, jak mądrze i jak głęboko podeszłaś do mnie i jak zręcznie wsunęłaś mi się w serce na zawsze. Ja Cię też kocham i zawsze będę Ci przyjaciółką serdeczną!

Całuję Cię, kochanie — i życzę powodzenia w pracy i we wszystkim oraz czekam na nowy list, ale już bardzo długi! Nie wbijaj sobie w główkę, że mając stale do załatwienia wiele listów — popsułam sobie smak tak dalece, że mogłabym Twoje listy i Ciebie uważać za szarego, przeciętnego człowieka. Nie! Znam się na ludziach i potrafię ocenić wartość listu pisanego zgrabnymi literkami na dobrej papeterii i tego o pokręconych literkach, lecz prostych i głębokich w myśl zdaniach! Ty nie szara jesteś dla mnie, a promienna tęczą barw różnych, w których uwięzło dużo serca, rozumu, szczerości i dobroci. Bądź zawsze taką — a na pewno nikt nie zaprzeczy mi, że jesteś barwna kolorem najwartościowszym.

Jeszcze raz całuję i zamieszczam komunilaty: „Przedwiośnie". Dziękuję Pani za pozdrowienia i proszę przyjąć ode mnie dużo serdeczności! Całej „Krainie" pozdrowienia.

CIESZY MNIE!

„Samotna Oleńka". Cieszy mnie, że przyzwyczaiłaś się już trochę do swego nowego miasta. Wszędzie jest dobrze, gdzie się człowiek dobrze czuje!

Da Bóg, to wkrótce napiszesz mi, że jest Ci tam nie tylko dobrze, ale nawet słodko — czy nie tak?

Wysyłkę wymienionego numeru zleciłam administracji.

„Halo! Najserdeczniejsze pozdrowienia dla „Dzinki", „Bławatka", „Alf. Wielińskiego" i „Lorda Stephensona".

„Te - Em'owi" pozdrowienia odwzajemniam i komunikuję, że tym razem intuicja i pozory myliły — nie jestem tą, którą miałeś na myśli. Zabaw się w odgadywanie — może wreszcie zgadniesz. Byłam pewna, że mylisz się. Osóbka, którą wymieniasz, przesyła Ci pozdrowienia. Masz rację, samotną nie jestem, ale... ale kogoś zawsze mi brak.

Dla całej „Rodzinki" ślę moc pozdrowień".

PRÓSZY ŚNIEG...

Białą melodią zwiewną
śnieg — prószy sennie,
przygasło w oddali nad lasem
słonko — promiennie...
Wiruje biel śnieżnych — płatków
szelestem ciszy,
wiatr — cichuteńko brzozami
śpiewnie kołysze...
Mroczy się wieczór zmierzchem
późną godziną — —
jakieś zbłąkane pieśni
od wioski płyną — —
...mówią — że kiedy śnieg prószy,
to aniołowie błękitni
strącają puch z śnieżnych skrzydeł,
a drzewa bielą w krąg kwitną...
Czarowną bajkę zimową
ktoś opowiada — ·
snuje się ciszą polną
gwiezdna ballada...
— — Wiatr śnieżną zamiecią
dmie w polu.
Uśpiona wioska daleka —
Noc nad przestrzenią bezkresną
na przedświt gwiazd złotych
czeka...

Józef Baranowski.

PRAGNIE KORESPONDOWAĆ

„Rolnik". Pragnie korespondować z „Krainiakami". Jest on czytelnikiem naszego tygodnika i wielkim entuzjastą „Krainy".

Rysopis jego mniejwięcej taki:

Przystojny 27-letni mężczyzna o oczach piwnych. Mieszka na wsi, gdzie jest urzędnikiem gospodarczym. Kocha przyrodę, lubi muzykę, kino, śpiew i wartościową korespondencję, a czuje się samotny. Bardzo wdzięczny będzie za pamięć. Pisać na poste - restante... pow. Krotoszyn, lub na ręce moje.

Pozdrawia całą „Krainę" i czeka!

NIE DZIWIĘ SIĘ!

„Bajka". Nie dziwię się, kochana, że dzieci przepadają za Tobą. Pokaż mi dziecko, które nie lubi bajek, — a czy starsi też nie okazują zainteresowania dla różnych bajek i dziwów?!

Pytasz mnie, czy jestem jedynaczką. Nie, bo mam młodszego od siebie braciszka, którego ogromnie kocham. Za to nie mam siostry. A w ogóle to rozumiem doskonale Twój głód osób z najbliższego rodzeństwa i wiem, że nieraz ciężko Ci znosić twoje jedynactwo. No, ale trudno płakać po tym czego nie było i nie ma — należy raczej dążyć do wszystkiego, co być może. A może być, że życie Ci da dużo innych ekwiwalentów za tę mimowolną krzywdę.

Całuję Cię i przechodzę do komunikatów: „Przedwiośnie", „Słoneczko" i „Dzielna Dziewczynko"! — Ślę Ci serdeczne uściski za Twoje dobre, szlachetne i pogodne serduszko.

„Zuch Dziewczyno"! — Całuję Cię mocno i raz jeszcze bardzo dziękuję za przemiłą imieninową niespodziankę.

„Marusiu III". — Jakże mi bardzo było miło dowiedzieć się, że pozostawiłam po sobie u państwa miłe wspomnienia. Całuję Cię, Kochanie i życzę szczerze powodzenia w „Krainie". — Pozdrów ode mnie Stenię — napiszę do niej wkrótce.

„Czarodziejko"! — Pozdrowienia odwzajemniam w pełni i czekam na przyobiecany długi liścik.

„Beniaminku"! Czy odebrałeś list na poste - restante? Pozdrawiam Cię mile.

„Księżniczko Tirso"! — Czemu nie odpowiadasz na list? — Napisz, bo uschnę na wiórek, czekając.

„Bławatku"! — Chętnie nawiążę z Tobą kontakt, lecz napisz, Kochanie, pierwsza. — Posyłam Ci siostrzane uściski.

Panie M. Grzegorski! — Czy projekt sierpniowy był niemożliwy do zrealizowania? — Ślę uścisk dłoni za miłe wiersze. — A również i Panu F. Płóciennikowi ślę dużo szczerego uznania za Jego miłe i śliczne wierszyki.

Chętnie również i z niemałą przyjemnością odebrałabym parę słów od „Erosa", „Te - Ema", „Białego Zwida" i Don Juana". — Czy zdecyduje się sprawić mi tę przyjemność któryś z Panów? — A także bardzo chciałabym nawiązać korespondencję z Sympatyczkami z Warszawy i z Zakopanego, lub jego okolic. Czy są takie w „Krainie"?

Na zakończenie swych komunikatów — wszystkim Drogim „Krainiankom" i „Krainiankom" przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia!

MYŚLĘ...

„Taki Jeden". Mam tu dwa listy Pana — czytam i odpowiadam. Pierwszy jest zapisany drobnym maczkiem i masą dopisków na marginesach, drugi też pracowity, lecz już niedekorowany post scriptami.

Na pierwszy i drugi odpowiem krótko, bo nie mam dużo czasu i miejsca. Proszę mi nie brać tego za złe!

Otóż nietrudno jest stwierdzić, jak pisze — czy prozą, czy wierszem. Panu to przyjdzie tym łatwiej, bo jesteś chłopcem rozgarniętym. Na takie i na wszystkie chce i umie odpowiadać, a nawet na „takie" odpowiada ze szczególniejszą przyjemnością.

Czymś „extra" są właśnie Pana listy — bo redagujesz je Pan zwykle bardzo swoiście i, nie banalnie.

Myślę, że kobieta młoda nie może się starzeć w tempie aż zastraszającym i w tym wypadku jesteś zbyt pohopny do przesady, Mój Chłopcze. Od siebie mogę Panu dodać, że taka młoda i nawet jeszcze niemogąca się starzeć kobieta może miewać dużo poważnych i pracowitych spraw na głowie, które sprawiają, że przeoczy to lub owo, czy w pośpiechu pomyli się trochę. A to jest strasznie łatwe i ogromnie ludzkie. Zgadzamy się — prawda? To pięknie!

Kończę i pozdrawiam Pana serdecznie oraz donoszę „Białej Uajali", że pamięć Pana dla niej jest tak żywa, jak niewiędnący listek laurowego wieńca na czole wielkiego szachisty. Dziękuję też mocno za przesłane wierszyki!

PROSZĘ O ADRES!

„Marzący Ramon N." Przyjmuję Pana do „Krainy" i pozwalam Mu się zaprezentować „Rodzince", lecz zwracam uwagę na konieczność nadesłania mi swego adresu. Nie rozumiem, jak może mężczyzna być tak roztargnionym, aby prosząc o listy nie podał równocześnie swego adresu! Kto i gdzie ma Panu posłać te listy, jeżeli ani ją, ani „Krainiacy" nie znają adresu! No mniejsza! Myślę, że szybko uzupełni pan tę niedokładność — czekam! A teraz oddaję Panu głos:

„Jestem przystojnym blondynem średniego wzrostu, lat liczę 24. Mieszkam w województwie pomorskim, niedaleko miasta powiatowego. Jestem muzykalnym, a ponadto uprawiam wszystkie sporty i jestem zapalonym foto - amatorem.

„Kochanie", zainteresowałem się Panią, czy wolno napisać? Proszę dać znać!

„Uśmiechniętą Wandulko", Rozśpiewana Izabello", „Księżniczko Lino", „Bella - donno", „Czarnooka Blondynko", Czarodziejko", „Przedwiośnie", „Smutna Irko", — pozdrawiam i proszę abyście zechciały skrobnąć do mnie liścik.

PRZYJMUJĘ

„Uchrza". Przyjmuję Panią do „Krainy" i mam niepłonną nadzieję, że będzie Pani z nami dobrze. Owszem, tak mi się zdaje, iż życzeniu Pani stanie się zadość — polubię ją tak serdecznie, jak wszystkich moich pupilów.

Życzę Pani, Drogie Dziecko, dużo zadowolenia z życia w otoczeniu naszej „Rodzinki" i posyłam serdeczny uścisk dłoni!

OTRZYMASZ!

„*Ar*". Droga Dziewczynko, postarałam się załatwić Ci jak najlepiej tę sprawę administracyjną — czy wszystko jest już jak należy? Książkę kucharską otrzymasz z końcem bież. miesiąca.

Nic specjalnie nowego u Ciebie nie zaszło — to nienajgorsze, bo przynajmniej nie masz zmartwień.

„Samotnemu — Chorzów I" mówisz, że chciałabyś z nim korespondować, bo i Ty jesteś samotna i pozdrawiasz go bardzo serdecznie. Tak samo całą „Krainę".

Przyjm moje serdeczne pozdrowienia i napisz, czy „Moje Powieści" otrzymujesz teraz regularnie!

NAWET...

„*Zawiedziony*". Żartuj sobie, żartuj niedobry Chłopcze! Ale nie żalę się, bo i mnie jest po myśli Twoja decyzja niezmieniania pseudonimu. A oto śmieję się wesoło, że nawet mnie przydarzyło się być przyczyną „zawodu" (nie bolesnego na szczęście) jednego z członków mej ogromnej „Rodziny". A że jesteś dzielny i zaradny i ani myślisz tracić to lub owo w życiu, mogę się jedynie cieszyć. Lubię raźną aktywność u moich wychowanków!

I mogę Ci z przyjemnością odpowiedzieć, że życzenie zadowolenia z pracy dążącej do wyrabiania w Was zadowolenia i radości z życia — powoli i konsekwentnie staje się faktem rzeczywistym. Tylko więcej mi Tobie podobnych osobników, a będę całkowicie zadowolona.

Posyłam ci radosny uśmiech i przechodzę do komunikatów:

„Serdeczne pozdrowienia przesyłam „Steni" i „Maryśce".

Halo — „Armido"! Czy się gniewasz na mnie, że tak zawzięcie milczysz? Jeżeli uważasz, iż korespondencja mogłaby nam może jakieś przykrości zamiast zadowolenia przynieść, to poproszę o zwrot mojej fotki, pod dawnym adresem.

„Alohe" proszę o poświęcenie mi chociażby skromniutkiego wierszyka na łamach „Krainy", życząc równocześnie dużo radości!

NADESŁANY ADRES

„*Stefcia*". Dziękuję za nadesłany adres — listy posłałam już Pani. Czy przyniosły dużo radości i zadowolenia?

Cieszy mnie, że ma Pani tyle sentymentu dla siostrzyczki swej „Lusi"!

Zdjęcia Wasze bardzo mi się podobają i mocno żałuję, że nie wolno ich dać do „Krainy" — No, ale skoro macie ochotę pozostać „tajemniczymi" osobami dla wszystkich „Krainiaków", tak dla pań, jak i panów, dlatego, że i ja niby jestem tajemnicą dla Was — skoro tak chcecie, to trzeba schylić głowy na zgodę i akceptację! Jedno tylko zaznaczyć wypada, że nie taka znowu ze mnie „tajemnica", bo każde z „Krainiaków" może poznać mnie w redakcji i odrzucić daleko mgławy welon rzekomej niedostępności. Kto ma rację, Mała Stefciu?

Za buziaka siarczystego od Luci i słodkiego od Ciebie „Stefciu" — serdecznie dziękuję i odwzajemniam dzielnie.

Bywajcie mi, kochane Dziewczątka, i piszcie często!

DOBRZE!

„*Czarny Hajduczek*". Dziękuję Ci, Droga Dziewczynko, za wszystkie ciepłe słowa uznania i wyrażam swoje wzruszenie. Niech Ci będzie zawsze bardzo, bardzo dobrze w życiu, bo zasługujesz na to w zupełności.

Tak, dobrze, nawet bardzo dobrze stało się, że poznałyście się z „Przedwiośniem" — Wy obie będziecie miały dużo punktów stycznych zarówno w rozmowie, jak w poczynaniach na tle społecznym.

Pisz mi dużo o sobie i zawsze bądź wesołą, Maleńka Moja Dziewczynko!

„Halo! „Mała Konwalijko" — dziękuję za przesłane mi wzory. Wybrałam tę białą. Całuję mocno.

„Przedwiośnie". Pamiętasz Poznań i „Zemstę Nietoperza"? Ściskam do uduszenia.

„Blanko"! Dlaczego nic nie piszesz? Czekam! Serdecznie pozdrawiam.

„Maruto". Dziękuję za pozdrowienia, i... Siena mocno przesadziła. Przyjm moje serdeczne życzenia na przyszłość.

„Dumko". Jak Ci się powodzi? Serdecznie pozdrawiam!

„Henry". Dlaczego zmienił Pan pseudonim? Pozdrowienia.

„Bajce", „Szatynce", „Białej Uajali", „Królowej Gizeli", „Maleńkiej Lusi", „Zbijobrukowi poznańskiemu", „Dzince", „Białemu Zwidowi", „Ny - Czarowi", i p. Płóciennikowi, ślę moc serdecznych pozdrowień, i pa!

MÓWISZ TAK SUGESTYWNIE!

„*Młody Orzeł*". Halo! Pilocie nasz miły — cieszy mnie niewymownie fakt Twego rozpisania się w ostatnim liście — dużo mi naopowiadałeś, a zwłaszcza ucieszyłeś swoim potężnym młodzieńczym entuzjazmem do latania. Piszesz tak sugestywnie — „Kto raz pokochał bezkresne przestworza, nigdy ich kochać nie przestanie!" — tak sugestywnie, że mnie samą zapał ogarnia do tego wspaniałego sportu — hej!

W górach naszych też hulałeś zdrowo — dobrze, że w taki przyjemny sposób spędzasz letnie miesiące!

Niedługo już wiosna, to i od nowa zaczniesz podbijać przestworza. Nie życzę Ci powodzenia, bo wiem, że wszyscy lotnicy są przesądni, więc szybownicy chyba też.

Napisz mi znowu dużo o wszystkim, a zwłaszcza o swoich postępach w nauce języków i bywaj!!

„Halo! „Złotowłosy Herubinek" — dziękuję Ci, Dziewczynko, za przesłanie mi życzenia. Odwzajemniam również pozdrowienia i ślę serdeczny uścisk dłoni.

„Kopciuszek" prośby spełnić nie mogę z braku czasu. Może kiedyś później. Pozdrawiam serdecznie!

„Bajko"! Z powodów ode mnie niezależnych nie byłem w Gdyni, dlatego obydwu Pań życzeń nie mogłem uskutecznić, choć z prawdziwą przyjemnością byłbym to uczynił. Ściskam Pani łapiętą.

„Kusicielko"!.. Prośby na razie nie mogę spełnić, może jednak Pani spróbuje?... Za pozdrowienia dziękując, serdecznie odwzajemniam.

Panu Janowi Feliksowi Płóciennikowi ślę słowa uznania i mocny uścisk dłoni za wiersz: „Ojczyzny Wiernym Synem Bądź".

„Pr yśmi nei Gwiazdeczce", „Re ie z Kujaw", „Brazylianinowi", „Maleńkiej Lusi", „Reni z Kolna", „Milutkiej Leni", „Marteczce" przesyłam dużo serdecznych i milutkich pozdrowień w odwzajemnieniu za przesłanie pod moim adresem wszystkich dobrych i serdecznych słów. Bardzo przepraszam mniej cierpliwe Sympatyczki i Sympatyków, że prędzej nie mogłem dać odpowiedzi, ale tak się złożyło, że cały czas „obijałem" się po tym bożym świecie.

Całej „Krainie" „Serwus"!..

ZLECIŁAM ADMINISTRACJI

„*Wandzia*". Słusznie się domyślasz, Dziewczynko, list Twój widocznie nie doszedł! Wierszyk oddałam Wujkowi Januszowi, a sprawę prenumeraty zleciłam administracji — myślę, że wszystko będzie w porządku.

Piszesz, że pragniesz korespondować z kimś inteligentnym i miłym z „Krainy" — na pewno się taki znajdzie!

Odwzajemniam pozdrowienia i przesyłam przyjacielski uśmiech!

„Wszystkich „Krainiaków" pozdrawiam! Panu L. K. z Bydgoszczy ślę słowa pamięci! Zdziwisz się Stary Przyjacielu, że odzywam się do Ciebie przez „Krainę" — czy tak?"

Teczka Wujka Janusza

TO NIE JA...

To nie ja grałam, ale moje ręce
Same klawiszy białych poszukały,
To nie ja grałam — ale w dziwnej męce
Serce cierpiało i oczy płakały
I same palce po klawiszach biegły
I na kolanach potem martwe legły...

Przyszła tęsknota — piękna, smutna pani,
Na oczach moich złożyła swe dłonie
I wspomnień kwiaty przyniosła mi w dani
I na pierś cicho pochyliła skronie
I sercu memu cierpieć znów kazała —
To nie ja grałam, lecz tęsknota grała.

To nie ja grałam, lecz zachód jesieni
Ową tęsknotę z sobą przyprowadził
I pokój zalał blaskami czerwieni
I duszę moją smutkiem swym zaraził,
A gdy pianino pod ręką szlochało,
To nie ja grałam, ale serce grało...

E. Misiągiewiczówna.

ŻAŁUJĘ...

„*Przedwiośnie*". Żałuję, że nie widziałem Pani w tym pięknym kostiumie karnawałowym, nazwanym poetycznie — „uosobienie wiosny". Niewątpliwie natchnęłaby mnie Pani do licznych zachwytów, które przelałbym następnie na papier. A może pozostała po balu jakaś fotografia? Czy mogę mieć nadzieję, że ją otrzymam?

Pisze Pani coś o żalu i winie wobec mnie. Zapewniam Panią, że wszystko jest w porządku. Ani na chwilę nie pomyślałem o tym, że postąpiła Pani źle, przypuszczałem natomiast, że nie miała Pani czasu wzgl. była czymś mocno zaabsorbowana.

Na zakończenie mocno ściskam Pani paluszki i pozdrawiam w imieniu Pani „Wirryta". Na nowy list czekam cierpliwie z cichym życzeniem, aby był tak miły i ładny, jak ostatni.

NIC Z TEGO!

„*Dzinka*". Na wstępie oznajmia mi Pani, że pragnie złożyć tylko swoje wierszyki na mom biurku i zaraz zwiać!"... Nic z tego Proszę zatrzymać się chwilkę i posłuchać:

1) Tomik poezyj „Jadźki z Kujaw" — poleciłam wysłać. Czy odebrała go Pani?

2) Wiersze, przeznaczone do tomika, proszę, niech Pani nadeśle i nie martwi się tak bardzo „słabą sytuacją gotówkową". Wszystko będzie dobrze!

3) Za mocny, przyjacielski uścisk dłoni — serdecznie dziękuję i proszę przyjąć ode mnie taki sam uścisk.

4) Komunikaty zamieszczam:

„Halo! „Przedwiośnie"! Za pamięć i miłe słowa pod adresem mych skromnych wierszyków — bardzo dziękuję! Przesyłam Ci, Droga Dziewczynko, dużo, dużo miłych pozdrowień.

„Nelli"! Napisz, odpowiem na pewno. W liście wyjaśnię, dlaczego nie piszę pierwsza. Czy może będziesz kiedyś w Poznaniu? Chętnie poznałabym Cię osobiście, a mieszkam w okolicy Poznania. Pisz — czekam i pozdrawiam!

„Wirryt"! Serdeczne dzięki za życzenia i pozdrowienia przesłane z Warszawy. Życzę powodzenia na nowej placówce pracy.

„Puer"! List wysłałam w październiku. Czy może nie otrzymał go Pan? Łączę pozdrowienia"!

DOBRANOC...

Wiatr chmurki po niebie gania,
Księżyc mleczną kulą płonie —
Tak jak wtedy — w dzień rozstania
Do ciebie wyciągam dłonie,
W twoją stronę zwracam oczy
I szept cichy — — — dobrej nocy!

Wartkim lotem chmury płyną,
Tworząc wielkie kłęby mgliste —
Czego szukam? Za czym tęsknię?
Widzę twoje oczy czyste,
Widzę głowę pochyloną —
Sen cię bierze w swe władanie,
Dobranoc — moje kochanie.

Księżyc uszedł kroków parę,
Rozpogodził lica blade —
Myślami do ciebie biegnę,
Na czole twym usta kładę,
Cicho imię twe wymawiam
Na — „dobranoc" cię pozdrawiam.

„Dzinka".

CZEKAM NA NOWĄ PRZESYŁKĘ...

„*Złote Słoneczko*". Tak mi miło, że i „Złote Słoneczko" zabłądziło do mej „Teczki", prosząc o ocenę wierszyków! Jak na razie, to nie mogę o tych wierszykach powiedzieć nic konkretnego, bo chociaż są miłe, to z drugiej strony rażą brakiem dobrego stylu. Proszę, niech Pani popracuje jeszcze trochę nad sobą i prześle mi znowu kilka utworków, abym mógł skonstatować, czy warto pracować dalej, czy będzie z tego jakikolwiek pożytek, czy też lepiej zainteresowania swoje skierować w inną stronę.

Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam i pozostaję w oczekiwaniu na nową przesyłkę!

Raj kobiet

Jakie kobiety mają powodzenie

Ogólnie utarło się mniemanie, że istnieje pewien typ kobiet, który wyróżnia się szczególnym powodzeniem u mężczyzn mimo, że niekoniecznie są to kobiety piękne i wcale nie muszą być idealnym odpowiednikiem urody klasycznej.

Tu od razu warto podkreślić, że nie ma kobiety, którab, się podobała wszystkim. Nawet najbardziej osławiona piękność, największa pogromczyni serc męskich ma krytyków swej urody, powabu — swej indywidualności. Indywidualności przede wszystkim.

Bo jakkolwiek kobieta chcąca się podobać w pierwszym rzędzie winna być ładna, to jednak jest jeszcze sporo innych rysów składających się na indywidualność, która działa mniej lub więcej pociągająco na mężczyzn.

Popularny pisarz francuski Maurycy Decobre, który słynie z wielkiego znawstwa kobiet, twierdzi, że uroda w życiu kobiety jest atutem poważnym, ale nie jedynym i nawet nie nieodzownym. Nie pomogą najbardziej klasyczne rysy, jeśli ich nie ożywi to coś, co dawniej nazywano wabikiem, a dzisiaj sex'appealem. Nic nie pomoże najpiękniejszy błękit podłużnych, kształtu migdała oczu, gdy ich nie pogłębi myśl intensywniejsza i promień uczucia.

Podług wymienionego już francuskiego pisarza, nie tyle utalentowanego, ile spostrzegawczego — kobiety, które szczególnie podobają się mężczyznom, podzielić można na pięć typów:

1) klasyczna piękność, przeważnie o ptasim móżdżku;
2) „diabełek" o zmysłowej urodzie (zadarty nosek, pełne usta, śmiejące oczy);
3) sportsmenka, typ „dziewczę z puszczy", (gibka, silna postać — odrobina romantyzmu, dużo chłopięcej koleżeńskości);
4) inteligentna intelektualistka (dobrze się z nią rozmawia, umie zadawać ciekawe pytania, a mężczyźnie zostawia pole do popisu w obszernym wygadaniu się);
5) „gwiazda" artystyczna (ekranu, teatru i t. p.).



Klasyczna piękność najczęściej odznacza się zimnym usposobieniem, brakiem temperamentu, silnym i płytkim egoizmem, który z kol i świadczy o upośledzeniu na punkcie posiadanego uczucia i rozumu. Kobiety klasycznie piękne rzadko bywają mądre, a jeżeli, to mądrość ich bywa twarda i niezwykle słabo ożywiona uczuciem serdecznego ciepła, umiłowania, że tak powiem, poznawanej prawdy. Ich mądrość jest równie zimna, samolubna, odgrodzona od bezpośredniej, ciepłej wiedzy uczuciowców, jak idealnie piękna a chłodna maska rysów i harmonijność kształtów niezmąconych żadnym buntowniczym czy kapryśnym wyskokiem mięśni, żadnym indywidualnym drgnieniem. Mądrość i uroda równie sobie chłodne, doskonałe, dalekie i obce, a przez to niesympatyczne.

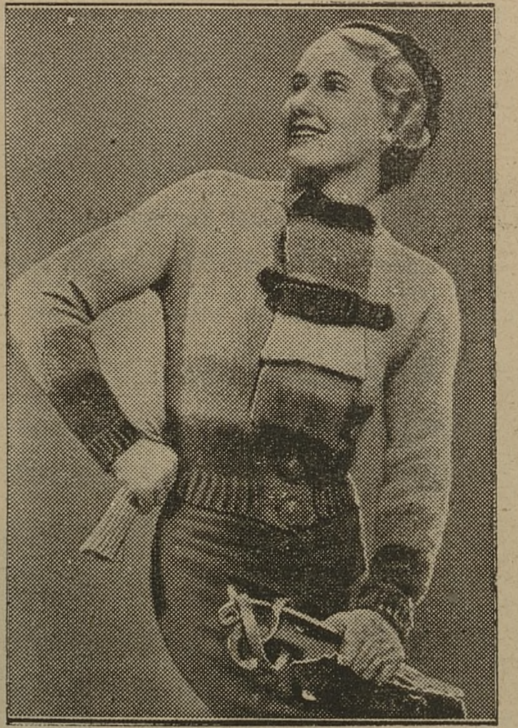


Kobieta „diabełek" jest najniebezpieczniejsza. Działa podniecająco na mężczyzn i podbija ich, jak żadna inna i jak żadna inna prowadzi za sobą w uludnym, błędnym korowodzie swych kaprysów i szaleństw.

Jest pomysłowa, błyskotliwa, pikantna, zawsze zmienna, interesująca i niepewna, gdyż najczęściej nie grzeszy dobrym charakterem.

Przeważnie nie jest wcale ładna, a tylko wydaje się taką zaślepionemu, zawojowanemu przez siebie mężczyźnie.

Jej wdzięcznie robiona słodycz, przymilność rozpieszczonej kotki, która lada moment zechce pokazać ostre pazurki i podrapać nimi do krwi, aby za chwilę srebrzystym śmiechem i lekkim słowem zniwelować ból zadany, to znów bryzgiem ironii okrutnej zgnębić do najcięższej goryczy — jest tą nitką delikatną a mocną, co na kształt macków polipa oplata nierozważnego, niebacznego wielbiciela i prowadzi go na drogę rozterki, a często w tarpaty finansowe.



Sportsmenka rasowa — taka, która naprawdę lubi życie i ruch na świeżym powietrzu, która potrzebę sportu czuje we krwi i uprawia go z rzetelnym zamiłowaniem, a nie tylko przez snobizm i chęć błyszczenia w najnowszych kreacjach mody sportowej. Taka sportsmenka należy do typów, które się dziś podobają najbardziej. Jest to przeważnie kobieta zgrabna, zręczna, o ruchach pewnych i gładkich. Pogląd na wszystko ma śmiały, zdecydowany i jasny. Wieje od niej zdrowiem, młodością i tą jakąś rzeźwą siłą wody źródlanej, co wartka i przeźroczysta mknie przed siebie i w coraz to nowych prądach, wirach niesie swój sens. Tak. Kobieta sportsmenka jest sensowna i dzielna. Nie ugnie się przy lada przeciwności, nie skapituluje gnuśnie, ani nie zatruje sobie i otoczeniu życia bezproduktywnym labidzeniem nad tym, czego się naprawić nie da, lecz będzie szukała nowej prostej drogi, nowego punktu zaczepienia dla sw egzystencji, dążeń i uczuć.

Jej konstrukcja fizyczna nastawiona na ciągły ruch i wysiłek nie pozwala na moralny zastój, na jakiś tam destrukcyjny pesymizm.

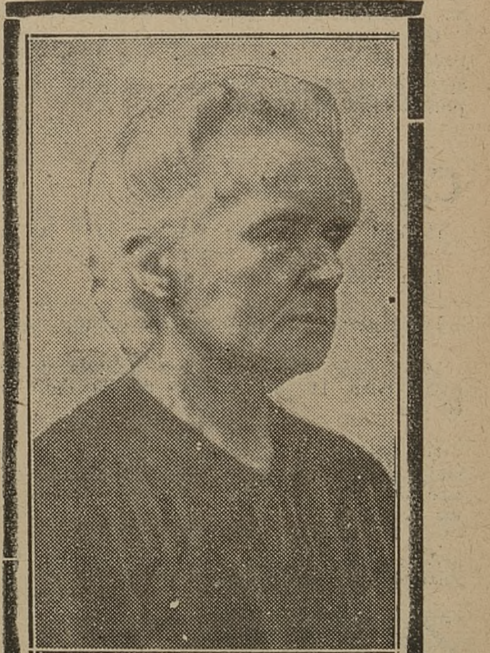
Ona musi przeć naprzód, musi się ruszać, a dzięki temu nie potrafi też pielęgnować, tak zwykłego kobietom, cierpiętnictwa i chandry. Przeciwnie, jest jednym z nielicznych (niech się tak wyrażę) rezerwoarów i rozsadników zdrowego optymizmu i werwy. Ona zna i rozumie urodę życia.

Na codzień i od święta ubrana jest czysto, higienicznie i ze smakiem, a prostota jej ubioru nie kłóci się absolutnie ze wskaźnikami elegancji. Kostium angielski wełniany, jasny płaszcz sportowy zawsze wygląda elegancko, jeżeli nie wytwornie — a przecież to najczęstsze atrybuty jej garderoby.

Taka kobieta o włosach płowych, jasnych, radosnych oczach i ciemnej, zdawałoby się skąpanej w rannej rosie i wycałowanej przez słońce cerze — nie wpadnie nigdy na to, aby rozwieść się z mężem dla tej wielce ważnej przyczyny, że nie kupił jej kolii ze szmaragdów, czy nowego luksusowego auta pod kolor ulubionego kostiumu. Ani nawet z tej racji, że jakiś tam nowy męski meteor na firmamencie salonowej nudy raczył zwrócić ku niej swe oblicze i porwać w orbitę swoich świetnych sukcesów.

Natomiast z wielką przyjemnością przyjmie propozycję wycieczki kajakiem, lotu szybowcem czy samolotem, lub wyjazdu na narty lub „spinaczki" w Tatry.

Nie jest specjalnie sentymentalna, ale też miłości nie komplikuje historią i scenami. Jest człowiekiem bezpośrednim i szczerym i jako taki łatwym w pożyciu.



Itelektualistka, to człowiek najodpowiedzialniejszy, ogromnie pożyteczny dla społeczeństwa i państwa. Scharakteryzowanie tego typu, nawet w zarysie, przekroczyłoby stanowczo ramy niniejszego artykułu. Zwolenników znajduje przeważnie wśród mężczyzn o usposobieniu artystycznym i wśród intelektualistów.

Najbardziej zazdroszczą kobiety swoim świetnym, znanym i okrzyczanym siostrzycom artystkom i wszelakiego rodzaju „gwiazdom". I czynią bardzo nieroztropnie, bo życie tych na pozór olśniewających kolibrów nie zawsze jest jednym gładkim pasmem podbojów, triumfów i sławy. Każde wspaniałe sceny, znają swoje kulisy odrapane z piórek fantastycznych dziwów, a wielkie „gwiazdy", osławione dzieci szczęścia i beztroskiego ślizgania się po wodach życia, mają swoje trudne, wymagające niespożytej energii i wytężonej pracy, wzloty i swo-



je nader gwałtowne, niczym czasem nie dające się zwalczyć — upadki.

Wystarczy, że bóstwo opatrzy się swym wyznawcom, że im kaprys wybierze inny obiekt zachwytu, a już ta niby silna budowa szczęścia i rozgłosu zawala się z głuchym trzaskiem zapomnienia.

A powodzenie u „panów stworzenia"? Te typy kobiet cieszą się największym powodzeniem wśród szerokiego koła wszelakich snobów, zbroj nych w banknoty i złoto, a potrzebujących dla uświetnienia swej „ważności" blasku urody pięknej kobiety, rozgłosu jaki ją otacza, famy sługębnej, sławiącej jej talent, a znajdującej wdzięczne echo na szpaltach dzienników na afiszach i w neonach wszelakich reklam. Bogaci snobi popisują się tymi uwielbianymi przez tysiące potentatkami rozgłosu, dla zaspokojenia swej próżności i uzupełnienia swego potentactwa mamony.

M. Gal.

Czy wiecie że...

Pluskwa wytrzyma bez jedzenia do 6 lat.

—o—

Żaba może pościć cały rok.

—o—

Łosoś głoduje dobrowolnie trzy czwarte roku.

—o—

Mysz może obywać się bez jedzenia do 6 dni, gołąb tylko 11 dni, kondor do 40 dni, psy do 60 dni.

—o—

U zwierząt ssących wątroba, nerki i jelita zmniejszają się pod wpływem głodu do 60 proc., mięśnie do 50 proc. Tylko mlecz pacierzowy i mózg nie szczupleją.

—o—

A człowiek? Może głodować najwyżej 75 dni. Zdarzył się taki wypadek.

Ze świata

Co nam pokaże wystawa nowojorska?

Nowy Jork (PAT). Komitet światowej wystawy nowojorskiej w r. 1939 donosi, że dotychczas 62 narody podpisały kontrakty o uczestnictwie w tej wystawie. Ostatnio do grupy wystawców przyłączyły się Niemcy, które pierwotnie miały zamiar zbojkotowania wystawy z powodu drastycznych antyniemieckich wystąpień burmistrza Nowego Jorku, La Guardia.

Jednym z największych budynków na wystawie będzie gmach kolei żelaznych, którego front mierzyć będzie przeszło 300 m. Zawierać on będzie eksponaty kilkudziesięciu amerykańskich towarzystw kolejowych.

Bardzo okazały gmach poświęcony będzie higienie, w którym miliony gości będą mogły zapoznać się naocznie z rozwojem i leczeniem tych właśnie chorób, które najbardziej prześladują ludzkość, jak rak, cukrzyca, gruźlica, choroby serca itd. W tymże gmachu znajdować się będzie oddział dentystyki, w którym ujrzy się w ogromnym powiększeniu uzębienie dziecka, wzrost zębów, zabiegi dentystyczne itp. Tuż obok znajdzie się eksponat, pokazujący na modelu choroby zębów ludzi dorosłych.

Ciekawy wielce będzie również gmach dziecka, poświęcony zarówno jego wychowaniu fizycznemu i umysłowemu, jak i dziecięcym zabawom. Oddział dziecięcy będzie specjalnie zarezerwowany dla dzieci. Dorośli będą tam dopuszczani o tyle, o ile pięcioakrowy dział dziecięcy nie będzie przepełniony przez dzieci. W dziale tym będą dwa teatry dla dzieci oraz warsztaty, w których dziatwa będzie mogła przypatrywać się budowie maszyn, samolotów, pracy w drukarni, rysowaniu i malowaniu z modeli itd. i wreszcie będzie tam restauracja, cukiernia i bar dziecięcy.

W domkach ze śniegu i lodu

W dniach od 20 grudnia r. ub. do 8 stycznia 1938 r. odbył się w Dolinie 5 Stawów w Tatrach rewelacyjny obóz harcerski.

Oryginalność obozu polegała na tym, iż jego uczestnicy w liczbie 20-tu zamieszkiwali przez cały czas w chatach wybudowanych własnoręcznie ze śniegu i lodu, czyli t. zw. igloo. Igloo zostało wybudowane przez harcerzy z wyciętych ze śniegu za pomocą specjalnych piłek kostek śnieżnych, polanych następnie wodą, przez co uzyskały moc niemal prawdziwych cegieł. Kształt Igloo był kopulasty, przy czym po ustawieniu każdej kopuły harcerze podkopywali się pod nią, urządzając w środku wygodne pomieszczenia 9-osobowe.

Każda Igloo składała się z obszernej sali ogólnej oraz promieniście rozchodzących się od niej korytarzy. W korytarzach tych zainstalowano na rusztach z drzewa posłania, składające się z sienników i specjalnie uszytych śpiworów. Strawę gotowano w igloo na maszynkach spirytusowych. Oświetlenia dostarczały lampy również spirytusowe.

Podczas największych mrozów do 24 st. temperaatura w igloo spadła maksimum do 3 st., jednakże dzięki specjalnie uszytym wspomnianym śpiworom oraz ciepłym ubraniom, uczestnicy kursu nie uskarżali się na zimno.

Obozowisko harcerskie w Pięciu Stawach było odwiedzane przez licznych turystów oraz kurs podharcmistrzowski chorągwi warszawskiej, który nawet pracował w igloo przez jedną noc.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

WANDA JAGIENKA ŚLIWINA

Zwycięstwo pani Heli

(Coś... o alkoholu)

Pan Stanisław wrócił do domu rano, z prawą ręką obandażowaną. Pani Hela wyskoczyła z łóżka na ten widok.

— Coś sobie zrobił? — krzyknęła z przerażeniem, zapomniawszy o wymówkach, z powodu przebirbantowanej nocy.

Małżonek uśmiechnął się dowcipnie.

— Bestia szyba w drzwiach była w złym miejscu i trafiłem w nią, zamiast w klamkę.

Pani Hela załamała ręce.

— Ślicznieś się spisał! Kompromitacja przed szefem, zaległości w biurze, bo okaleczona łapa nie utrzyma pióra i koszt wybicia szyby, plus rachunki za całonocną kolację. Przy takim systemie życia, to tylko obwiesić się na starych szelkach!

A pan Stanisław na to:

— Wiesz? spać mi się chce!

I runął do łóżka.

Pani Hela pobiegła do biura wytłumaczyć nieobecność męża, a stamtąd udała się wprost do jednej z przyjaciółek. Zastała ją zapłakaną.

— Co się stało?

— Zbyszek wrócił o 7-ej rano!

— Ach! tak! To na jednym wózku jedziemy. Stasiek zrobił to samo. Z pewnością byli razem!

— A tak, razem. Zbyszek mówi, że go twój mąż wciągnął!

— No, no! Nie wierz mu, nie bądź głupia! Mojego gagatka też zawsze ktoś wciąga. Mówię ci, Ludka, że nie ma innej rady, tylko musimy zorganizować się!

— My dwie?

— Nie. My wszystkie, przyjaciółki i właścicielki" birbantujących mężów. Trzeba ich oduczyć, trzeba ich wyleczyć, bo zdrowie stracą i materialnie utopią nie tylko siebie, ale i swoje rodziny. Ty wiesz ile my mamy długów?

— Pewnie tyle co my!

— Nic nie pomoże „odłużanie" urzędników, dopóki alkohol, jak diabeł kusiciel, krąży między nami. Za taką jedną przehulaną noc, można by przecież żyć przez dwa tygodnie!

— A naturalnie!

Zalały się łzami żalu.

A potem zwołały sejm.

Zeszły się: pani Kazia, pani Zosia, pani Jadzia, pani Ludka — wszystkie u pani Heli.

— Więc co? więc jak? Radź! Mów! — zaczęły wołać wszystkie razem i każda z osobna.

— A czy ja jestem najmądrzejsza z was?

— Nic podobnego! Ale ty jesteś projektodawczynią!

— Nie zawiodłam waszego zaufania, ale coś się wybiegałam tu i ówdzie, to nie macie pojęcia! Otóż byłam przede wszystkim — w Lidze Abstynentów. Nadawali mi różnych broszurek, nagadali pełno przeciwalkoholowych mądrości, aż mi głowa spuchła. A potem poszłam do Poradni Przeciwalkoholowej, więc podsumowawszy to wszystko, mogę wam sprawę zreferować, tylko musi być solidarność, bo inaczej — nici będą z całej sprawy!

Pani Hela rozrzuciła po stole zdobyte broszurki i odchrząknąwszy, zaczęła mówić:

— Liga Abstynentów radzi wpływać na psychikę takich panów. Każe — dobrym słowem — przedstawić również pochyłą, po której stacza się człowiek pijący.

Przytępienie honoru, coraz bardziej słabnąca wola, oportunizm i wreszcie — strata opinii. Bo cóż kto szanuje alkoholika — birbanta? Nie ufa mu szef, pilnuje restaurator, lekceważą koledzy, tracą szacunek własne dzieci i żona, jeżeli jest żonaty, a na pewno nie pokocha żadna kobieta, o ile jest wolnym, bo jego „wolność" zabrała wódka i obniżyła poziom moralny. Drugim czynnikiem w odkażaniu organizmu alkoholika, jest kwestia materialna. Trzeba przedstawić pijącemu zawrotne cyfry, stwierdzające ile Polacy wydają na spożycie trunków. Trzeba mu trafić do przekonania, że nie istniałby kryzys ekonomiczny, gdyby nie miliardy wyrzucone na wódkę.

Pani Hela wyciągnęła rękę do leżących na stole broszurek.

— O! zaraz! Tu wszystko jest, w tych książeczkach. To taki materiał pomocniczy, do walki z pijaństwem.

Poszukała czegoś w jednej z nich i zawołała:

— Właśnie! Polacy od czasu odzyskania niepodległości przepili 15 miliardów złotych, a zaoszczędzili półtora miliarda. Dobry stosunek, co?

Ciąg dalszy w następnym numerze.

Ta ilustracja żywcem przenosząca nas w czasy starożytnego Rzymu nie jest jednym z rzeczywistych jego obrazów, a tylko świetnie zaaranżowanym obchodem na modłę starorzymską, w dzień sztuki w Monachium.



ROZDZIAŁ CCLVIII.

Zapłata.

Zuzia nie przyznała się mężowi do wszystkiego.

Obawiała się, że gdyby mu wyznała całą winę, odepchnąłby ją od siebie.

A to bolałoby ją teraz stokroć więcej, niż kiedykolwiek.

Teraz bowiem kochała go naprawdę.

Imponowała jej jego wytrwała, uczciwa praca, a obojętność jego dla niej, przyciągała ją właśnie najbardziej. Ten rudy chłop, którym przedtem prawie gardziła, teraz był dla niej ideałem.

On zaś był dla niej dobrym mężem, ale nigdy jej nie okazywał serca. Jeżeli co robił dla niej, to zawsze kładł nacisk na to, że robi to z obowiązku, gdy jest jej mężem.

Zuzia obawiała się opowiedzieć mu całe dzieje skandalicznego życia swego w Ameryce, za żadne skarby świata nie byłaby się przyznała do tego, że sprzeniewierzyła mu się już w Europie, z baronem Sturmfederem.

Przypadkowo raz jej się to przypomniało.

— Dziwna rzecz! — rzekł Mayer pewnego wieczora do żony — że ksiądz proboszcz naszej wsi nic mi nie odpisał.

Zuzia, która sama dawno już zapomniała o tym liście, przypomniała sobie teraz, co z nim zrobiła i dlaczego. Na wspomnienie o tym zbladła jak ściana, a potem oblała się szkarłatnym rumieńcem.

Pocieszając męża, że list proboszcza pewnie nie doszedł, bladła i rumieniła się na przemian, tak, że to zwróciło uwagę Józefa.

— Co tobie jest? — spytał.

— Nic mi nie jest — odpowiedziała — tylko tak mi się robi gorąco i zimno.

Mayerowi przez myśl nie przeszło, że ona tu czuje się winną, i zachowanie się jej tłumaczył sobie złym stanem jej zdrowia.

— To powietrze tu jest straszne — rzekł — musimy stąd uciekać, bo obawiam się, że ty zapadniesz na febrę.

Zuzia niczego bardziej nie obawiała się teraz, jak opuszczenia tej cichej, spokojnej fermy, którą dawniej tak nienawidziła, a teraz tak pokochała i zetknięcia się ze światem, w którym tyle nabroiła i nagrzeszyła.

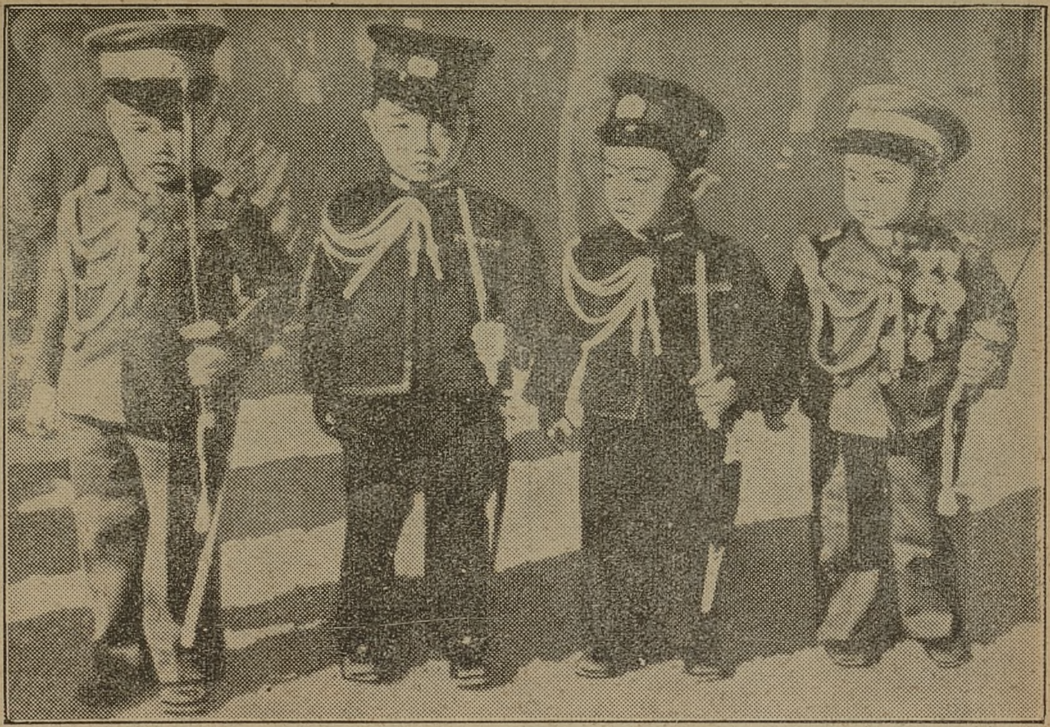
Nadto na samą myśl o podróży uświadomiła sobie na nowo swoją podłość, której wspomnienia w niej odżyły, i całą szlachetność ukochanego męża.

— Cóż mi po życiu! — zawołała tłumiąc łzy, gdyż wiedziała, że Mayer nie znosi płaczu — cóż mi po życiu, kiedy ty mnie nie kochasz!

— Zapóźno zapragnęłaś mojej miłości — odrzekł Józef ponuro — o kochaniu mowy być nie może. Ale mężem twoim jestem zawsze i muszę dbać o twoje życie, któremu tu, w tej bagnistej okolicy, grozi niebezpieczeństwo. Najbliższym parowcem, który stanie przy nas, wracamy do kraju.

— Ależ Józefie! — zawołała Zuzia przestraszona — to niemożliwe! Pomyśl o całej sprawie młodego naszego hrabiego! Czy chcesz się unieszczęśliwić?

Słowa te wyrwały się jej tak szybko, że nie zastanowiła się nad tym, że się zdradza. Żałowała zaraz, że je wypowiedziała, ale już było zapóźno.



W Japonii nawet małe berbecie myślą o wojnie. Marzy im się zapewne, że zostaną wielkimi generałami.

Mayer jak oparzony zerwał się ze swego stołka, który potoczył się w kąt izby i przyskoczył do żony.

— A ty skąd wiesz o tym, co się stało z młodym hrabią? — wrzasnął chwytając ją za kark. — Baron Sturmfeder ci powiedział! W takim razie był pewny, że będziesz milczeć! Więc byłaś jego kochanką!?

— Ani słówka nie wiem od barona! — wyjąknęła Zuzia ustami, które zbladły, jak kreda.

— A więc czytałaś list mój, pisany do księdza! — krzyknął Mayer.

— Nie, nie ruszyłam nawet tego listu! — wypierała się Zuzia.

— A więc skąd wiesz o tym wszystkim? — krzyczał Mayer trzęsąc nią gwałtownie.

— Ja nie wiem nic pewnego — broniła się Zuzia — a to co wiem, to stąd, że ty często mówisz przez sen i prosisz hrabiego Wernera o przebaczenie!

Mayer wzburzony chodził po izbie.

Uwierzył jednak wykrętom żony i po chwili uspokoiwszy się nieco, kontent był nawet, że się przed nią może teraz już wygadać z tajemnicy, która mu bardzo ciężyła.

Opowiedział jej szeroko jak się rzecz miała, a ona słuchała ciekawie.

Zaniechał naturalnie zamiaru powrotu do Europy.

Postanowił jednak stanowczo opuścić fermę, szczęście i błogosławieństwo Boże, i za pieniądze uzyskane z kilkakrotnej sprzedaży drzewa, a wynoszące około 600 dolarów, kupić sobie grunt gdzieindziej, w okolicy, która byłaby zdrowsza, a nie taka jak ta.

Kiedy do brzegu przybył pierwszy parowiec i Mayer sprzedawszy ostatni skład drzewa i kupiwszy bilet dla siebie i żony, wpędził na pokład bydło, Zuzia z płaczem błagała go, żeby z nią został we fermie. Trzeba było użyć siły, żeby ją unieść na okręt. Zuzia obawiała się jak ognia, spotkania któregokolwiek ze swych dawnych kochanków.

Gdy jednak we Friedrichskorn wysiedli znowu na ląd i zawsze otaczały ich tylko obce twarze, odetchnęła z ulgą.

Mayer byłby najchętniej osiedlił się w tej okolicy, do której przeprowadzili się Brinkmanowie, ale nie zrobił tego jednak przez delikatność, a to ze względu na żonę.

Chciał jej oszczędzić wstydu spojrzenia teraz w oczy pani Brinkmanowej i jej rodzinie.

W okolicy Friedrichskorn znalazł jednak ziemię, która wydała mu się niezłą i kupił ją, zaopatrzywszy się w mieście w narzędzia gospodarcze i żywy inwentarz, którym uzupełnił przywiezione bydło.

Właśnie załatwił poza domem ostatnie formalności zakupna, gdy Zuzia w domu przechodziła bardzo niemiłą niespodziankę.

Siedziała zamyślona, żałując zmarnowanego życia i szczęścia, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołała obojętnie.

Do pokoju wszedł brudny, obdarty murzyn.

— Muszę się bardzo cieszyć, że panią znowu widzę — zagadnął ją, wystawiając białe zęby i łypiąc okiem.

— Sambo! — wrzasnęła przerażona Zuzia.

— Tak, to Sambo! — potwierdził murzyn z godnością — ja, tak rzetelny, wierny, pracowity, biedny Sambo.

— Dobry Sambo, ty mnie nie zdradzisz!? Prawda? — prosiła Zuzia strwożona.

— Niech Bóg broni! — zapewniał Sambo — cieszę się bardzo, ja zobaczę znowu panią z panem. Czarny Sambo, najlepszy przyjaciel ładnej białej pani. Oj, Sambo taki biedny!

— A co ci brakuje?

— Oj, brakuje wszystko! — jęczał Sambo. — Brakuje pieniędzy, brakuje tytoń, brakują buty, brakują krople rumu na złagodzenie słabości. Pani pewnie ma dużo pieniędzy, bo pan sprzedał swoją fermę? — rzekł wlepiając w nią swe oczy.

— Nie — odpowiedziała Zuzia — mój mąż fermy nie sprzedawał, bo nikogo nie chciał oszukać. Nikogo tam nie ma teraz.

— A pan Brinkman jeszcze tam jest? — spytał murzyn.



W Italii wojsko przyjęło nowy krok paradowy. Na ilustracji Mussolini przyjmuje taką próbną defiladę.

— Nie, wyprowadzili się do zdrowszej okolicy i teraz im o wiele lepiej.

— Każdemu lepiej, a biednemu Sambo zawsze gorzej lamentował murzyn. — Może teraz mu będzie lepiej. Pani powiedzieć panu, żeby mnie zabrał ze sobą, do swojej nowej fermy?

— Ja? — przestraszyła się Zuzia, — ale mój mąż mnie nie usłucha! On ledwie, że mnie trzyma koło siebie.

— O! czy to nie wierzyć! — zaprzeczył stanowczo Sambo. — Madama wszystko może zrobić dla biednego Sambo.

Popatrzył na nią tak złośliwie i złowrogo, że Zuzia zadrżała.

— Cóż mam zrobić? — spytała strwożona.

— Naprzód dać wszystkie pieniądze, co pani mieć.

— Ależ ja nie mam ani centa! — zawołała Zuzia.

— Nic nie szkodzi — pocieszał Sambo. — Mayer ma. Jemu brać, mnie dać!

— Nie mogę tak! — broniła się Zuzia.

— A ja jemu powiedzieć, co pani mieć kochanka? — groził Sambo.

— Dobry Sambo, zlituj się! — błagała Zuzia — co ci z tego przyjdzie, że mnie wtrącisz w nieszczęście?

— My z tego mieć zabawę — śmiał się murzyn — jak pan będzie dowiedzieć, że pani miała dziecko...

Zuzia krzyknęła i przyskoczywszy do niego, zatkała mu usta.

— Zmiłuj się! — Milcz! — prosiła.

— Jak pani mnie zabrać do nowej fermy — zawyrokował murzyn — my nie potrzebować dużo miejsca, dużo chleba — my dosyć mieć kęs chleba i mały kąt, a my wiernie służyć.

— Ależ Boże mój! — zawołała Zuzia — pod jakim pozorem? On nie chce!

— Pozorem? — spytał chytry murzyn — madama już zapomnieć, że Sambo pani uratować życie?

— Ty? mnie?!

Zuzia osłupiała ze zdziwienia nad bezczelnością murzyna.

— Pani zlecieć do Mississipi — kłamał bezwstydnie murzyn. — Biali ludzie nie mieć odwagi, tylko stary Sambo skoczyć jak lew do wody i właśnie duży krokodyl otworzyć paszczę, madamę zjeść, a Sambo łap na okręt!

— Ależ Sambo! — rzekła z wyrzutem Zuzia — przecież to nieprawda! Ja wtedy nawet nie jechałam wodą.

— To nieładnie tak kłamać — ganił bezwstydny łotr — mnie od tego czasu reumatyzm łamie kości od wody.

Zuzia była zrozpaczona.

Murzyn poszedł i nie potrzebował zapewniać, że zjawi się skoro tylko Mayer będzie w domu.

Nie wiele jednak brakowało, a byłby ten figiel przypłacił życiem.

Mayer bowiem, zobaczywszy niegodziwca, który go okradł i uciekł, rzucił się na niego i mało go nie udusił.

Z trudem wydobył się murzyn z jego silnych rąk i zawołał:

— Ładna wdzięczność! — my uratować pani życie na Mississipi, a pan mnie za to mordować?

Zuzia musiała wejść w to kłamstwo z obawy, żeby chytry murzyn nie zdradził jej przed mężem z tego, do czego nie miała odwagi mu się przyznać.

Gdy się Mayer zdziwił, że mu nigdy o tym nie opowiadała, tłumaczyła się, że niechętnie w ogóle mówi o tym okresie swego życia.

Mayer nie lubił mieć w swoim pobliżu ludzi, którzy go raz oszukali, gdy jednak Sambo nalegał na to, by go przyjąć, wziął go ze sobą do nowej fermy.

Tam murzynowi żyło się, jak u Pana Boga za piecem.

W nieobecności Mayera terroryzował Zuzię do niemożliwości. Wypijał jej jaja ze spiżarki, zjadał największe połcie słoniny, a co najgorsze, wymuszał od niej pieniądze za które kupował sobie to czerwoną kamizelkę, w której podziwiaj siebie i żałował, że go Aurora nie widzi, to rum i inne „pokrzepiające" napoje.

Zrazu Zuzi udawało się od męża pod różnymi pozorami wyciągać pieniądze, na zatkanie gęby murzynowi.

Gdy jednak Mayera fundusze na zakupno gruntu, narzędzi gospodarczych, inwentarza i na bieżące wydatki wyczerpały się, a Zuzia razu pewnego znowu udała się do niego po pieniądze, odprawił ją z niczym i jeszcze ofuknął.

Murzyn jednak nic nie chciał wiedzieć o tym, choć mu Zuzia opowiadała, że pieniędzy już nie ma.

— To my wszystko, zdradzić Mayerowi — rzekł obojętnie.

— Czyż możesz być taki okrutny? — płakała Zuzia.

— Pani mnie da pieniądze, to wszystko będzie dobrze.

Zuzia była zrozpaczona.

Nagle jednak przypomniała sobie, że ma od męża pas pełen drogich kamieni. Postanowiła najmniejszy z nich sprzedać we Friedrichskornie i poprosiła tylko Sambo, żeby poczekał jeszcze tylko do dnia następnego.

— Do jutra my jeszcze będziemy czekać — zgodził się łaskawie czarny łotr. W duchu zaś postanowił sobie podglądnąć panią, skąd weźmie pieniądze dla niego.

Nazajutrz, gdy Mayer na dłuższy czas wyszedł z domu, Zuzia wyjęła z ukrycia pas i wypruła z niego mały brylant, który położyła na stole.

Sambo, który z ukrycia przypatrywał się temu wszystkiemu, nie mógł widzieć, skąd ona to wzięła; zobaczył jednak brylant na stole i korzystając z chwili, w której Zuzia wyszła po coś do drugiej izby, wskoczył do pokoju, chwycił drogi kamień i wsadziwszy go do ust, połknął.

Uciekając, co tchu miał w piersi z fermy Mayerów, obiecywał sobie, że skoro tylko znajdzie się w miejscu bezpiecznym od pościgu weźmie środek na wymioty i będzie miał w ręku drogocenny skarb.

Mayer domyślił się, gdy wrócił do domu i dowiedział się o ucieczce murzyna, że Sambo musiał coś ukraść; trudno mu było tylko wpaść na to, co padło ofiarą chciwości murzyna, a Zuzia także udawała, że nie wie.

Oboje jednak bardzo byli zadowoleni, że się pozbyli tego żarłocznego i wstrętnego nieroba.

ROZDZIAŁ CCLIX.

Wzgardzona miłość — uzyskana przyjaźń.

Zbudziwszy się nazajutrz rano, spojrzał Hiller dokoła i oko jego padło na miejsce puste, gdzie wczoraj leżał więzień.

— Gdzie jest Hammerling? — zawołał zrywając się gniewnie.

— Uciekł — odpowiedział Leon spokojnie.

— Jakim sposobem?! To niemożliwe! — rzucał się przyrodnik.

— Panie Hiller — rzekł Leon odważnie — gniew pański zwróci się przeciwko mnie, bo ja mu ułatwiłem ucieczkę. I jeżeli nawet w pańskich oczach popełniłem zbrodnię, to jednak zdaje mi się, że czyn ten wobec mego sumienia i wobec Boga zdołam usprawiedliwić.

— Jak pan śmiał? — gniewał się Hiller — Hammerling był moim więźniem i pan nie miał prawa nim rozporządzać Pan wykroczyłeś przeciwko ustawom mojej ojczyzny i ja wystąpię z oskarżeniem na pana.

— Ojcze! mój drogi ojcze! — wtrąciła się teraz Frania — nie bądź taki surowy, taki zaślepiony! Przecie Mr. Jim postąpił sobie po ludzku! Czyż możesz go za to narażać na nieprzyjemność?

— Obowiązki wobec państwa są na pierwszym planie — odparł opryskliwie przyrodnik. — Skoro tylko będziemy w Fort-Andrews wniosę przeciwko panu oskarżenie, panie Jim.

— To panu wolno — odrzekł Leon zimno — ja bynajmniej nie usunę się spod oskarżenia. Będę umiał odpowiadać za to, co zrobiłem.

Odwrócił się na znak, że rozmowę uważa za skończoną, a Hiller kazał służbie puścić się w pogoń za zbiegiem.

— To się na nic nie przyda — rzucił Leon — bo on wyruszył w drogę jeszcze przed północą, musi więc być już bardzo daleko.

Gniewnym okrzykiem zatrzymał więc Hiller służących, którzy już wybierali się w pogoń i kazał pakować rzeczy na drogę.

Milcząc, ruszył orszak naprzód. Frania kilka razy usiłowała dostać się w pobliże Leona; chciała mu powiedzieć, jak się jej podoba jego czyn miłosierny, zachowała bowiem mimo męskiego stroju, miękkie kobiece serce.

Ale Leon unikał jej widocznie i ona widząc to, oddała się smutnym rozmyślaniom.

Droga tymczasem stawała się coraz nieznośniejsza. Burze były bardzo częste, a pod koniec długi czas bezustannie deszcz padał strumieniami. Podróżni przemokli do ostatniej suchej nitki, a gdy chcieli się ogrzać przy płomieniu ogniska, mokre drzewo nie chciało się palić. Na noclegach spali na mokrej ziemi, przykrywając się zmoczonymi na wskroś kocami.

Indianin z prawdziwym stoicyzmem znosił wszystkie te niewygody; Leon, Bil, Tom i nawet Frania odczuwali je dotkliwie, ale znosili odpornie.

Najsłabszym był sam Hiller, jako człowiek starszy. Jak długo byli w podróży, trzymał się jako tako. Gdy jednak w pierwszym blokhauzie, który był przy drodze, dostali ciepłą strawę i ogrzali się przy ognisku, zachorował ciężko.

Chwilami tylko gdy się ocknął z gorączki, kazał sobie podawać te, lub owe lekarstwa z apteczki, którą woził ze sobą.

Nie wierzył jednak w ich skuteczność i mówił, że czuje iż zejdzie ze świata. Mimo troskliwej opieki córki i Leona rzeczywiście koniec jego się zbliżał. Tuż przed śmiercią przyrodnik na chwil kilka odzyskał przytomność. Ledwie jednak zdążył polecić córkę opiece Leona i odebrać od niego uroczyste przyrzeczenie, że zajmie się sierotą, a już agonia chwyciła go, że tylko niewyraźnie już pożegnał się z córką i skonał.

Leon w czasie choroby Hillera mimowoli był zmuszony zbliżyć się znowu do Frani. Nie mówił jednak nic nadto, co było niezbędnym i nieuniknionym.

Teraz, pomny na przyrzeczenie, złożone umierającemu, postanowił otoczyć ją opieką. W dzień śmierci jednak i w dzień pogrzebu pozostawił ją i dopiero nazajutrz zbliżył się do niej.

— Czy pani nie ma krewnych, albo przyjaciół? — spytał, gdy wróciła wieczorem z grobu ojca.

Frania płakała.

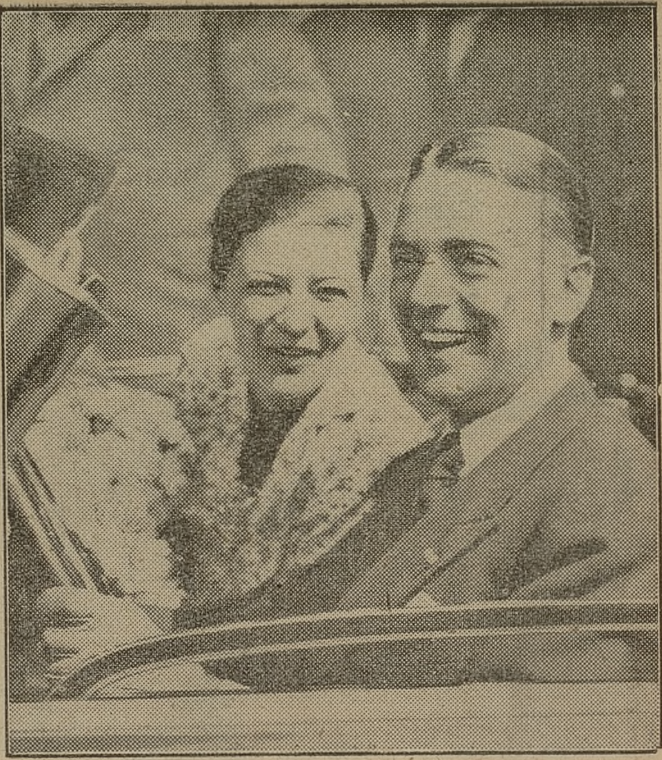
Nagle jednak rzuciła mu się na szyję i namiętnie zawołała:

— Ja nie mam nikogo na całym świecie, tylko ciebie. Ty jesteś moją rodziną, moją ojczyzną!

Leon w zakłopotaniu, ale łagodnie, odsunął ją od siebie.

— Niech się pani uspokoi — rzekł ze współczuciem — zabiorę panią ze sobą, a moja żona pokocha panią jak siostrę.

Jego żona!



Dn'a 28 stycznia br. zabił się słynny kierowca niemiecki Bernd Rosemeyer, osiągnąwszy na wozie wyścigowym szybkość 429 km. na godzinę. Na zdjęciu rekordzista ze swą młodą, przystojną żoną, Elly Beinhor Rosemeyer, w drodze na tragiczny tor.

Frania zbladła jak trup i jęk tylko wyrwał się z jej piersi.

Leon chciał zrobić coś takiego, co by zatarło wspomnienie chwili, tak dla dziewczyny upokarzającej i usiłował rozmawiać z nią swobodnie.

Pokazał jej fotografię Hortensji, na którą ona patrzyła z jakąś bolesną rezygnacją, po czym opowiadał jej, że pojadą do Kanady i tam na czas dłuższy osiędą.

Zajął się teraz energicznie jej losem. Postanowił w Fort Andrews sprzedać zbiory Hillera, zaś Toma i Wudaja uwolnił ze służby i podziękowawszy farmerom za gościnność, z Billem i Franią, na trzech wieorzchowcach, które były własnością Hillera, ruszyli w drogę.

W drodze Bill odezwał się nagle:

— Co my, którzyśmy się związali tak silnym węzłem na dolę i niedolę, co my się tu mamy dławić salonowymi zwrotami i mówić do siebie per pan! Bądźmy „per ty"!

— Dobrze — zgodziła się Frania chętnie i podała mu rękę, nie miała jednak odwagi zwrócić się z tym samym do Leona.

Gdy jednak on sam zwrócił się do niej z tą serdeczną propozycją, uścisnęła serdecznie dłoń jego na znak zawiązanej przyjaźni.

Milcząc już jechali dalej i każdy z nich myślał o tym, czy mu się plany jego ziszczą.

ROZDZIAŁ CCLX.

Pożegnanie na zawsze

Asesor mówił żywo i w widocznym wzburzeniu, które jednak tłumił i powściągał o tyle, żeby Hortensji nie obrazić.

Ona zaś słuchała z komiczną miną skruchy, której jednak nie należało brać na serio.

— Niech mi pani wierzy — kończył Feldern — że mówię tylko przez życzliwość dla pani. Któż to widział, żeby osoba taka młoda i przystojna, sam na sam jechała sobie z mężczyzną i to jeszcze tak późno.

— Księżna mnie tak grzecznie i serdecznie zapraszała, że nie mogłam odmówić — broniła się Hortensja. W dodatku tak się przyjemnie jedzie, tym powozem księcia!

Feldern nie miał czasu odpowiedzieć, gdyż właśnie wszedł Luigi i oznajmił księcia Petöfiego.

— Proś — rzekła Hortensja, ale Feldern powstrzymał służącą i zwrócił się do niej:

— Przepraszam — rzekł ostro — czy pani po tym wszystkim, co pani tu ode mnie słyszała, przyjmie jeszcze wizytę księcia? Bo, jeżeli tak, to ja musiałbym się oddalić. Razem dla nas dwóch miejsca tu nie ma.

— Panie Feldern — rzekła Hortensja, prostując się dumnie — nic panu nie daje prawa, aż tak dalece mną się zajmować, przykro by mi było pana pożegnać, ale nie widzę przyczyny, dla której miałabym księcia odprawić. Proś, powtórzyła stanowczo do służącego.

Feldern zbladł i poczerwieniał.

— Pożałuje pani — wykrztusił tylko i wyleciał jak z procy.

Był jednak na tyle ostrożny, że przeszedł przez salon, aby się nie spotkać z Petöfym.

Hortensja tymczasem w buduarze serdecznie przepraszała księcia, że mu trochę dłużej kazała czekać. Książę po jej zdenerwowaniu domyślił się wszystkiego, zwłaszcza, że widział w przedpokoju płaszcz i kapelusz Felderna.

Prędko jednak zapomniał o nim. Z roztargnieniem słuchał nawet jej podziękowań za piękny bukiet, który jej przysłał.

— Łaskawa pani — rzekł uroczyście, patrząc na nią swymi czarnymi oczyma — mam zamiar popełnić coś niedelikatnego, coś, co mnie samego przestrasza, ale nie mogę się już powstrzymać, uczucie moje silniejsze jest niż ja, niż moja wola. Hortensjo! — zawołał — ile razy cię widzę, drży mi na wargach wyznanie mojej miłości. Muszę się powściągać, żeby pani nie paść do nóg i wyznać mękę, która mnie trawi. Wybacz pani, że przełamuję zaporę, która mnie od siebie dzieli. Nie mogę czekać, muszę już pani powiedzieć, jak bardzo cię kocham, najdroższa Hortensjo!



Rudolf Caracciola ustanowił dwa nowe międzynarodowe rekordy samochodowe na swym najnowszym Mercedesie.

Błagam panią, zostań moją żoną! Matka moja z radością przyciśnie cię do łona, jako córkę.

Padł na kolana i ręce jej obsypywał namiętnymi pocałunkami.

Hortensja przestraszona drżała na całym ciele.

— Jak pan mógł... — zaczęła i zalała się łzami.

Książę cofnął się natychmiast, boleśnie dotknięty.

— Dlaczego pani się gniewa? — spytał z bólem — czy wielka moja miłość nie usprawiedliwia tego, co robię? Jak długo pani była związana, walczyłem z sobą i niczym pani nie dałem poznać, co się we mnie dzieje. Ale dlaczegoż miałbym się dusić jeszcze teraz, skoro pani już jest wolną?

— Niech pan tego nie mówi! — zawołała Hortensja rozżalona w najwyższym stopniu — skąd pan ma tę pewność?

— Feldern mi pokazał notatkę w dzienniku! Czyż pani nie pokazywał?

— Owszem! — odrzekła — ale potem się okazało, że człowiek ten, o którym tam była mowa, to nie był Leon! Wykazano przecie nieidentyczność. O tym panu pan Feldern nie mówił?

— Nie zapewnił Petöfy i obojga opanowało przykre zdumienie na widok odsłoniętej intrygi asesora.

— Gdyby mąż mój nie żył — dodała jeszcze Hortensja z uroczystym smutkiem — połączyłabym się z nim po śmierci na wieki. Ale w Bogu nadzieja, że on żyje i wróci do mnie. Ja pana kocham jak brata, ale nic więcej dać panu nie mogę. Bóg widzi, że niewinnie panu sprawiłam tę przykrość.

Książę zbladł i zdawało się, że młodzieniec ten w jednej chwili postarzał się o dziesięć lat.

— A więc żegnam panią na zawsze — rzekł, całując jej rękę, a ona wyszeptała tylko żałośnie:

— Niech pan do mnie nie ma żalu!

ROZDZIAŁ CCLXI.

Niebezpieczne znajomości

Wzmagający się coraz bardziej uczucie głodu, zmusiło wreszcie hrabiego Raucha do opuszczenia miejsca, do którego przykuł go straszliwy widok zaskoczonych śmiercią i w śmierci pojednanych przeciwników.

Z pogardą zostawił nietkniętą bryłę złota i jął poszukiwać sobie miejsca, gdzie by mógł rozpalić ognisko, a w braku czegoś lepszego upiec sobie ptaka, którego rano zastrzelił.

To była jego kolacja.

Zajęty jej przyrządzaniem usłyszał kroki i głosy coraz wyraźniejsze, coraz bardziej się zbliżające. Mimo, że był sam, a zbliżający się widocznie byli liczni, nie zląkł się wcale, przeciwnie, ucieszył się, że nareszcie znowu zobaczy ludzi, znowu będzie miał z kim rozmawiać. Jemu jako człowiekowi cywilizowanemu, Europejczykowi, kilkudniowa samotność w puszczy dokuczyła niezmiernie.

Niecierpliwie więc wyglądał przybycia ludzi i nie mogąc się ich doczekać, wołał i wyszedł na przeciw. Nie przestraszył się nawet, zobaczywszy trzy wcale nie ujmujące, olbrzymie, zdziczałe postacie.

Powitał przybyszów uprzejmie w języku meksykańskim. Oni jednak wcale nie wyglądali tak ucieszeni, jak on nimi.

— Hola, chłopcze! — zawołał jeden z nich, którego włosy i broda były rozstrzępione. — Co ty tu robisz i skąd się tu wziąłeś?

— Może ośmieliłeś się kopać tu złoto? — zapytał drugi z gniewnym błyskiem ciemnych oczu i podniósł groźnie szpiczasty hak.

— Zróbmy krótki proces z tym gagatkiem! — zawołał trzeci — według praw poszukiwaczy złota, należy mu się, żeby go powiesić!

Eryk widział tedy, że zawcześnie się ucieszył ludziom, bo oto pierwsi, których spotkał, dybali na jego życie.

Nie stracił jednak kontenansu, tylko sprytnie się uratował.

— Głupibyście byli mnie zabijać — rzekł wchodząc spokojnie w ton ich rozmowy — skoro wam to nic, a nic nie przyniesie, bo ja przy sobie nie mam nic wartościowego. Zostawiwszy mnie natomiast przy życiu, zarobicie grubo, bo wskażę wam miejsce, gdzie jest ukryty skarb.

— Puść go, Harispe! — odezwał się na to najstarszy ze zbójów — zobaczymy, czy mówi prawdę. Zawsze jeszcze pozostanie nam dość czasu i dość gałęzi na wykonanie zemsty za oszustwo. Tymczasem siadajmy do ogniska.

Dorzucili do ogniska suchych gałęzi, dobyli z ukrycia antylopę i sporządzili smaczną kolację, do której w sposób brutalny i szorstki zaprosili także hrabiego.

Eryk, którego ptak w czasie rozmowy z przybyszami upiekł się na węgiel, z chęcią przyjął zaproszenie i podjadł sobie smacznie.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

ul. Eustachy Dorożyński — Trzeciewiec.

1.					
2.			A		
3.					
4.					
5.					
6.					
7.			A		
8.					

środkowy rząd da rozwiązanie!

Wyrazy pomocnicze:

1) nazwa kawy
2) kłamstwo
3) pieniądz
4) rodzaj uzbrojenia
5) inaczej hałas
6) zamek w Krakowie
7) nie młody
8) rzeka w Rosji

Bilety wizytowe

ul. Eustachy Dorożyński, Trzeciewiec

ENIA KLUCZYCA

LUSIA BRITKA

Ł. R. LATOS

Odgadnąć zawód właścicielki biletów.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 18 lutego br.

Rozwiązanie zadań z numeru 5 „Moich Powieści": I) Logogryf: „Albośmy to jacy tacy"! II) Bilety wizytowe: 1. „Szare Dziewczę", 2. „Zbłąkana Gwiazda", 3. „Waldemira".

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Bultrowicz Wacław — Gniezno, Malicka Helena — Inowrocław, Chuchro Roman — Katowice, Janicki — Gniezno, Pilarski Edmund — Bydgoszcz, Janowski Marian — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p. Malickiej z Inowrocławia i Pilarskiemu z Bydgoszczy.

ADAM NASIELSKI

9)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

Czarny przyjaciel kapitana zgasił światło przed wyjściem i udał się do swego pokoju, gdzie rzucił się na tapczan i zasnął prawie natychmiast. Ale Jazon Kent nie mógł zmrużyć oczu tak szybko. Położenie nie było takie proste i jasne — wywikłanie się będzie trudne oraz ryzykowne. Jazon nie był głupcem i umiał widzieć, ogarniać rozumem to, co dojrzał. Ponadto ta niespodziewana miłość Thelmy do Murray. Czy on ją naprawdę kochał — czy też podświadomie, siłą naturalnego instynktu chciał się jej uczepić jak pasa ratunkowego na fali życia, jak portu zbawczego, w którym można znaleźć słodką wodę do picia, jak pomyślnego wiatru, dmącego ku wytchnieniu. Prawda, przy niej, z myślą o niej, czuł się dobrze — ale czy to była miłość?

Dotychczas nie kochał nigdy i szczerze mówiąc — uważał „amora" za postać czysto mitologiczną, za twór poetów i literatów, za ideał wymarzony i napewno doskonały — ale przecież ideał. Życie, jakie obserwował zawsze, mnożyło przykłady potwierdzające jego teorię. Więc jak... Był niezdecydowany, skonsternowany i czuł się w tej chwili jak człowiek przed decyzją stuprocentowo ryzykowną, której podjęcie może przynieść Thelmie wszystko jak nic.

Lecz ryzyko było przecież dotychczas jego żywiołem. Czy to na morzu w czasie licznych i niebezpiecznych podróży — jak wtedy, kiedy to sam przy pomocy dwóch nienabitych rewolwerów, samą postawą odwagi, stłumił bunt załogi, nieopodal Pernambuco. Albo też wtedy, gdy został do ostatniej chwili na mostku kapitańskim „Rosemary Whithrop". I gdy wyrwał młodego podówczas Cliffa z rąk brazylijskich plantados. I potem, gdy jako bezrobotny ryzykował każdego dnia najwięcej — bo zniweczenie swych marzeń i ambicyj i zejścia wdół, do nizin. Wszędzie było ryzyko — czemu miało zniknąć teraz...

„Mąż, który chce ze swych wnętrzności wyciągnąć mądre postanowienie — niech się przedtem prześpi od zachodu słońca do zachodu księżyca"... Powoli ogarnął go znany tak dobrze wszystkim ludziom, a jednocześnie tak nieszczęśliwy do określenia bezwład przed zapadnięciem w stan snu... Thelma ...Cliff ...Sedgwick, kapitanie Kent... Ranton... Buddy... O jakiej porze roku odbywają się burze... Ognia, chłopcy!... Hej! Ty tam, na rei... jako jest twoja ostatnia wola. Puść tego czarnego!... Bumm!

Co to było — sen czy rzeczywistość. Otworzył oczy nawpół i dosłyszał po chwili wyraźny, cichy, szmer skradających się kroków. Bał się zapalić światło i nic narazie nie widział. Wolno wydobył ręce spod kołdry, oczy marynarza przywykły stopniowo i szybko do ciemności i ujrzały sylwetkę pochylonego mężczyzny. W ręku jakiś błyszczący przedmiot.

Jaz nie krzyknął — skoczył tylko i rzucił ściągniętą kołdrę całym impetem na obcego. Rozległ się brzęk stłuczonego szkła. Skok. Chwyt. Krzyk przytłumiony. Ból w okolicy karku. Światło. Zapalił je Cliff.

— Co się tu dzieje, kapitanie. Pan jest ranny.

— Zadrasnął mnie lekko. Plasterek i gotów — rzekł Jaz niezupełnie zrozumiale.

— Kto?

— Nie wiem. Zasnąłem i zbudził mnie jego szmer. Nie wiem jak długo spałem. Która godzina?

— Trzecia.

— Więc jednak spałem...

Ujrzał w tej chwili leżącą na stoliku kopertę i wyjął z niej taki sam kartonik jak wczoraj. Nie denerwował się. Domyślił się jeszcze przed przeczytaniem. Trzy słowa:

„To za Rantona".

Wręczył kartkę Cliffowi i ten również zrozumiał. Nie zbladł, bo miał czarną skórę — ale przestraszył się.

— Ten scenariusz nie nadaje się na komedię, Cliff. To jest poważna sprawa. Wlazł przez okno i zbił szybę przy wyskakiwaniu. Musiał na pewno mieć pomocnika nazewnątrz. Jak to dobrze, że użył noża. Gdyby rewolweru miałbyś komu jutro powiedzieć smacznego.

— Niech pan zawiadomi policję, capta'n. Natychmiast...

— Nie nagle. Mąż, który i tak dalej, Cliff. Czuwaj ty, a ja prześpię się do ósmej. Zbudzisz mnie i wtedy pomyślimy. W każdym razie muszę przedtem rozmówić się z Sedgwickiem. Nie należy być świnią, Cliff. Przestępcy też mają swoją etykę.

— Ale pan nie jest przestępcą, sir.

— Formalnie niezupełnie — lecz faktycznie, trochę. Ostatecznie — Sedgwick nie zmusił mnie dosłownie do zgody. Nieco bałem się i trochę byłem ciekawy i... nic nie wiedziałem. Teraz inna sprawa i pogadamy wyraźnie. D'night, Cliff. Czuwaj!

W tej chwili zapukano do drzwi. Ukazała się twarz numerowego.

— Co się tu stało, sir.

— Zbiłem przez nieostrożność szybę. Wliczycie mi do rachunku.

— Nie o to przecież chodzi, panie kapitanie — oburzył się numerowy. — Widzę, że pan się skaleczył. Może jodyny...

— Dziękuję panu bardzo. Mój służący opatrzy to zadraśnięcie. — Numerowy wyszedł, a Jaz szepnął do siebie: — Musiał być pewny, że zamach się uda, skoro zgóry przygotował „motywy wyroku". Oni myślą, że ja zabiłem Rantona... Wesołe... Teraz zawiał ...Thank you, Cliff.

Gdy to się stało, Jazon zasnął kamiennym snem i zgodnie z wydanym rozkazem, został obudzony o ósmej. Na stole czekało już śniadanie, a Cliff golił się przed lustrem w pokoju swego pana. Wiedział, że nie otrzyma za to nagany od kochanego, kapitana.

ROZDZIAŁ XVII.

JAZ DECYDUJE SIĘ

Zjedli razem w zupełnym milczeniu i nie wspominając ani słowem o nocnej przygodzie, o której przypominał leżący na stole list. Zarówno pan jak i jego służący wiedzieli, że stoją przed ważnymi wydarzeniami, przeczuwali to instynktem i mylili się. Numerowy sprzątnął właśnie ze stołu i wyszedł. Jazon rozejrzał się po pokoju z pewnym żalem:

— Będziemy musieli rozstać się z tym wszystkim, Cliff — rzekł bez westchnienia, tonem stwierdzenia faktu, na jaki nie ma rady. — Skoro powiem Sedgwickowi, to co chcę — koniec z forsą, Cliff. Jemu trzeba będzie zwrócić.

— Ale będziemy mieli czyste sumienie.

— Och! czyste sumienie. Czy ktoś objaśni mi co to znaczy naprawdę?

— Świadomość braku winy i spokój ducha — rzekł czarny filozof z głębokim przekonaniem. — To dużo znaczy.

— Lecz za tę twoją świadomość nie zapłacę za chleb, herbatę, mydło i dach nad głową.

— Trzeba pracować, sir. Wszyscy musimy coś robić. Dla siebie i przez to dla ludzkości.

— Ja wiem, że ty masz rację, Clifford — po raz pierwszy nazwał go pełnym imieniem. Imponowała mu prawość charakteru Halleta. — Well, — westchnął jednak lekko. — Idziemy do Sedgwicka i zlikwidujemy tę niesamowitą historię.

— Pan nie musi mu zwrócić pieniędzy, sir. On je dał dobrowolnie i nie mógłby ich odebrać przez żaden sąd na świecie.

— Tu nie chodzi o sąd, mój friend. Mój honor też coś znaczy.

— Więc poco te wszystkie fochy, sir — zauważył Cliff logicznie. — Podać panu płaszcz.

— Yes, wes.

Wstał i w tej samej chwili zadzwonił telefon na biurku w gabinecie. Jaz leniwie podniósł słuchawkę, lecz poznał od razu głos i drgnął, jak zelektryzowany.

— Dzień dobry, Jaz. Poznajesz?

— Thelma! — omal nie wypuścił mikrotelefonu.

— Czemu się dziwisz... Już pan zapomniał, kapitanie? Kto miał rację?

— Nie to. Zdziwiłem się... bo nie chcę wierzyć... własnemu szczęściu... szczęściu. God morning — przypomniał sobie.

— Haha! Jak spałeś?

— Dobrze — skłamał.

— Pięknie. Nie będę cię nudziła przez telefon. Dziś o czwartej idziemy na „five". Ładna gra słów. Czekam na ciebie w „Petit Gourmet". Będę sama.

— Dziękuję ci, Thelmo — wyjąknął. Przyjdę. Na pewno będę punktualnie.

I już odłożyła słuchawkę, a on stał jeszcze przez długi czas nieruchomy, skonsternowany, przygnębiony. Tak... Powinien przecież cieszyć się, rżeć z radości, czuć się szczęśliwy. Ona też... i sama, pierwsza, zadzwoniła. Będę sama. Czyż trzeba wyraźniej....

Opadł nieomal na fotel i tak trwał w bezruchu. Petit Gourmet... Dancing, five o'clock... To oznaczało przede wszystkim — pieniądze. Tyle a tyle dolarów. A Sedgwick zażąda zwrotu. I słusznie. Wszystkiego. Na pewno. I hotel, i szatnia, drobiazgi. A on — bez grosza. Z czego zapłaci. Jak jej powie? Nie uwierzy mu — pomyśli, że wariat, niesamowity typ, że wykręca się sianem. Mój Boże...

— Dlaczego nie idziemy, mój kapitanie?

— Dokąd?! — ocknął się, jak ze snu. Obok stał Cliff z uśmiechniętą, zadowoloną twarzą.

— Do Sedgwicka — zdziwił się.

— Ach, tak... No, oczywiście... do Sedgwicka.

Był kompletnie zbity z tropu. Aby powiedzieć bankierowi-szpiegowi: Nie chcę być szpiegiem, ma pan tu swoje brudne dolary i good bey! I na bruku, z walizami, kufrem, bez centa w kieszeni, w ogromnym i ogromnie dobrym milionowym mieście. Z wywiadem na karku... To za Bantona... I z trzeciej strony, z zemstą Sedgwicka. I z randką na czwartą w komfortowym dancingu — z córką milionera Murraya. To było gorzej niż źle — tragicznie! A jednak — uśmiechnął się, zupełnie naturalne. Kochał śmiech.

— Klapa, Cliff. Absolutna klapa.

— Głupstwo, sir. Zastawimy tę złotą bransoletkę. Pan jej nigdy nie nosi.

— I co dalej. A ona?

— Kto? Bransoletka?

Jazowi znów nie chciało się śmiać.

— Dzwoniła miss Murray — musiał się wypowiedzieć, wywnętrzyć i gdyby nie było tu Cliffa, zawołałby numerowego, lub windziarza i opowiedziałby mu, że Thelma telefonowała. — Ona mnie kocha... Czego się śmiejesz.

— Bo jeżeli to jest prawda — to dobrze, sir. Powiemy jej potem o wszystkim. Ona pomoże...

— Brać pieniądze od kobiety. Żebym cię tak nie huknął, bracie Hallet.

— Bez przesady, panie kapitanie. Pomoc od kobiety — to jeszcze nie pieniądze od kobiety. Wszyscy ludzie powinni sobie nawzajem pomagać i nie rozumiem czemu płeć ma tu stanowić skrupuł. I jeszcze do tego kochający się. Poza tym — wargi murzyna-filozofa skrzywiły się w pogardzie. — Wśród białych ludzi istnieje zwyczaj otrzymywania na przykład posagów od narzeczonej. Czy to nie są pieniądze brane od kobiety.

— Miss Murray nie jest jeszcze moją narzeczoną i wątpię czy nią będzie.

— Ale pan ją kocha. Zresztą nie musi pan od razu wziąć gotówki — znów wydął wargi. Proszę jej... miss Murray — opowiedzieć wszystko. Będzie to najlepszą próbą miłości.

— Jesteś nieoceniony, sceptyku. — Jaz wstał i bez zażenowania wycałował murzyna z dubeltówki.

— Co pan zrobił, captain.

— Chodź, bracie. Naprzód — marsz!

— A bagaże. Przecież musimy się wyprowadzić.

— Doba zapłacona z góry i na to nigdy nie jest za późno. Na dół, i zawołaj mi taksówkę. Pojedziemy do Sedgwicka za jego własne pieniądze. Uszy po sobie i hop!

Już zupełnie rozpogodzony — taką miał dziwnie zdrową naturę — odpowiedział portierowi i windziarzowi na dzień dobry, wsunął temu ostatniemu z niezrozumiałym dla niego śmiechem półdolarówkę w łapę i wsiadł do oczekującej już taksówki, rozkazawszy przedtem Cliffowi kupić paczkę Cortezów.

— Te papierosy przynoszą mi szczęście — rzekł bezmyślnie, lecz wesoło.

— Dokąd sir? — zapytał szofer.

— Bank La Salle'a!

Portier słyszał tę dyspozycję i powiedział do swego wiecznego antagonisty, płatniczego.

— Do banku La Salle'a. No, kto miał rację. Ten kapitan Kent musi mieć grube pieniądze.

Jednak niemniej zawzięty płatniczy w binoklach nie ustąpił, już choćby dla samej zasady stałego i konsekwentnego sprzeciwiania się panu portierowi.

— Na taksówkę do banku La Salle'a stać i mnie, co jeszcze nie znaczy, że jestem milionerem.

— I nigdy pan nim nie będzie. Pan ma chorą wątrobę, mister Crag — rzekł portier ze złością i odsunął się jakby w obawie przed infekcją. — Na karawaniarza nadawałby się pan może, ale nie na płatniczego u Stevensa.

— Jeżeli pan portier byłby łaskaw odwalić kitę i zostać moim pierwszym klientem, zgodziłbym się może zostać karawaniarzem — mruknął płatniczy złośliwie i szczerze, ale tak cicho, aby portier tego nie dosłyszał.

Mniej więcej w pięć minut po powyższej rozmowie omawiana taksówka zatrzymała się przed bankiem i biały i czarny pasażer wysiedli.

— Jeden sześćdziesiąt — rzucił Jaz okiem na licznik. — Oto dwa dolary. Reszty nie trzeba.

— Thanks, sir. Czekać tu na pana?

— Nie — uśmiechnął się kapitan i pomyślał, że po wyjściu z banku nie będzie miał nie tylko na powrotną jazdę samochodem, ale nawet nie na żebraka.

Polecił woźnemu banku zameldować się natychmiast do Montague Sedgwicka i natychmiast otrzymał krótką i jasną odpowiedź:

— Pan dyrektor Sedgwick wyjechał i nie wiadomo kiedy powróci.

— Psiakrew! — zaklął kapitan głośno, a woźny banku światowej sławy spojrzał na niego ze zgorszeniem, lecz zarazem pomyślał, że elegancki pan kapitan Jazon Kent może być grubą rybą finansową i ukłonił się pokornie.

— Może pan załatwi swoją sprawę za któregokolwiek z panów dyrektorów, lub u sekretarza mister Sedgwicka.

— Już lecę! Jakbyś trafił, przyjacielu.

— Więc mam pana zameldować — nie zrozumiał woźny.

— Tak, do prezydenta Stanów — zażartował Jaz płasko i uchyliwszy grzecznie i zbytecznie kapelusza wyszedł z Cliffem na ruchliwą i już tętniącą tempem businessu Wacker Drive. Ładny pech! Sedgwick musiał akurat wyjechać. Kapitan nie wiedział czy smucić się, czy radować i zdecydował się, jak zwykle na tę ostatnią, przyjemniejszą ewentualność.

— Ja nie mogę zabronić, aby Sedgwick wyjeżdżał. Tego nie było w umowie, prawda Cliff. Pójdziemy sobie na spacerek i dobra nasza. — W gruncie rzeczy był nawet zadowolony z przypadkowego odsunięcia decydującej rozmowy. Co się odwlecze itede...

— Hallo, captain! — usłyszał naraz za sobą dziwnie znajomy głos, odwrócił się i spojrzał w sprytną twarz inspektora Willsa. — Co pan tu robi. Chce pan włamać się do skarbca La Salle'a.

— Ten dowcip jest więcej kryminalny niż dowcipny, inspektorze. — Jaz podał mu rękę.

— Opowiem panu lepszy, malkontencie. O pewnym pick-pockecie, który był tak zręczny, że w tramwaju wyciągnął portfel sobie, zamiast człowiekowi, którego chciał okraść — i nawet tego nie poczuł.

— Już trochę lepszy. Jak się pan czuje po wczorajszej zabawie — zapytał zdawkowo, myśląc, że najchętniej pożegnałby się natychmiast.

— Dziękuję, dobrze — brzmiała równie szablonowa odpowiedź. — Muszę tu wpaść do banku — dodał inspektor znienacka. — Chcę pomówić z jednym z dyrektorów. Montague Sedgwick. Może pan go zna, kapitanie. Chciałbym wiedzieć, co to za człowiek, zanim z nim pomówię.

„O czym?" — stłumił Jaz cisnące mu się na usta pytanie i: — Sedgwick? Nie znam — skłamał bez drgnienia powiek.

— Szkoda — rzekł inspektor swobodnie, a Jazon Kent przysiągłby, że Buddy Wills nie uwierzył jego oświadczeniu.

— Good bye — podał mu rękę, którą inspektor uścisnął mocno i trochę dłużej, jakby nie chciał jej wypuścić.

— Dlaczego: „żegnam"? Do widzenia! Zobaczymy się chyba jeszcze...

ROZDZIAŁ XVIII.

I CO TERAZ?...

Jaz odetchnął z ulgą, gdy chytry Buddy zniknął za obrotowymi drzwiami — było to jednak westchnienie chwilowe, podyktowane nie tyle przez przekonanie o bezpieczeństwie, ile przez optymizm charakteru kapitana. Po raz niewiadomo już który ogarnęła go ochota ucieczki: Zawołać pierwszą taksówkę i kazać się zawieźć na pierwszy lepszy dworzec, wykupić bilety w jakimkolwiek kierunku na najdalej idący express i potem zastanowić się.

Nie uczynił jednak tego z dwóch powodów: Pomimo całego romantyzmu swej duszy był Jaz jednocześnie charakterem nawskroś realnym i zdawał sobie sprawę, że o ile nie aresztowano go dotychczas, to z dwojakiej możliwej przyczyny: albo uważają, że jest jeszcze zawcześnie, albo oni nie mają żadnych dowodów i inwigilują kapitana jedynie z zasady wszechstronności śledztwa. Ostatecznie każdy szpieg, a więc i Sedgwick, styka się w życiu codziennym nie tylko ze swymi agentami, ale i z ludźmi niewinnymi, niemającymi pojęcia o jego drugim, tajnym obliczu. Ważniejszym wszelako powodem decyzji Jaza była Thelma Murray.

Kapitan Kent, ten cynik i obieżyświat, zamiłowany w wolności nie tylko fizycznej, lecz i duchowej stwierdził ze zwyczajnym przestrachem, że myśl o Thelmie wkorzeniła się poprostu w całokształt jego rozumowania i każdą ewentualność rozpatrywał pod kątem tej miłości.

Miłość?!

— Zobaczymy — rzekł do czekającego spokojnie Cliffa.

— Co?

— Przekonamy się wkrótce, czy ja się naprawdę zakochałem w miss Murray, czy też mi się tylko zdaje. A teraz oddalmy się stąd nieco, bo świadomość obecności inspektora Willsa działa mi na nerwy.

— Widziałem to, gdyście rozmawiali, sir — odparł murzyn spokojnie — i dlatego trzymałem rękę na rewolwerze.

— Szaleńcze! Coś ty zamierzał?

— Nic wielkiego. Gdyby położył rękę na pana ramieniu, aby aresztować, dałbym mu w ciemię głównią hiszpana.

„Jednak ex-ludożerca, pomimo całej wiedzy i wychowania" — pomyślał kapitan.

— To by nie na wiele się zdało, Cliff. Idziemy.

— Dokąd?

— Na spacer. Muszę się namyśleć, chociaż między nami mówiąc — od wczoraj nie robię nic, tylko myślę i nic...

— Będzie dobrze, sir. Pan jest trochę przewrażliwiony, jak...

— Jak?...

— Tak jak wszyscy zakochani. Ja też byłem kiedyś zakochany.

— Naprawdę? — zainteresował się Jaz z premedytacją, aby odwrócić swoją własną uwagę od jej inklinacji. — I jak to się skończyło.

— Bardzo szczęśliwie, sir. Moja ukochana wyszła za innego. Miał woję i o jedną kozę więcej niż ja — wyjaśnił czarny filozof ze stoickim spokojem, Jaz roześmiał się i to natychmiast rozpogodziło jego nastrój.

Po co się martwić? Czy to coś pomoże? Ani w ząb. O czwartej spotkamy się z Thelmą. Będzie sama. Powie jej wszystko i — wóz lub przewóz. Odkryje karty i przekona się raz na zawsze jak szanse stoją. Potem decydująca rozmowa z Sedgwickiem, który, miejmy nadzieję, nie umarł chyba jeszcze gwałtowną śmiercią — bo dranie nie giną tak łatwo. A jeżeli nawet, lub uciekł — to może i lepiej — odezwał się w kapitanie stary cynik z młodzieńczych lat i zmartwienia pierzchły widząc, że z taką opoką oportunizmu jak Jazon Kent nijak nie dadzą sobie rady.

Na ulicy panował już iście amerykański gwar i ruch. Wszystko pędziło. Nawet domy zdawały się migać przed oczyma. Na Wacker Street było stosunkowo cicho. To dzielnica banków i towarzystw asekuracyjnych. W miarę jednak, gdy zbliżali się do Randolph Street Station ruch wzmagał się, hałas rósł, potężniał, aby w końcu zamienić się w grzmotliwą „symfonię" wielkiego miasta.

Zatrzymali się właśnie przed wysokim na stoczterdzieści metrów pięknym budynkiem Steuben Club Building, największego klubu świata, gdy Jaz poczuł jak czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia w łokciu i usłyszał przytłumiony głos, który od razu poznał:

— Niech pan udaje, że idzie pan dalej, a ja pójdę za wami. W ten sposób unikniemy zbytniego zwrócenia na siebie uwagi. Kierunek — Park Granta.

— Wiedziałem, że pana diabli nie wezmą tak prędko — odpowiedział nie odwracając się, a mr. Montague Sedgwick żachnął się.

Wyminęli tak Wabash Avenue i przez bramy przy Public Library przeszli do Grant Parku. Tu Jazon usiadł na pustej ławce w bezludnej alei i odwrócił się spokojnie. Montague Sedgwick sięgnął z zimną krwią po cygaro, zapalił je starannie i dopiero potem rzekł:

— Był pan u Murray'ów, captain.

— Widziałem wszystko. Porucznika Dicka Murray'a. Wiem o jego tajnych aktach. Słowem — wiem wszystko.

— Pan jest niezwykły, kapitanie Kent — w zachwycie Sedgwicka była nuta podziwu. — Przeczuwałem, że nikt tak nie potrafi wywiązać się z zadania, jak pan.

— Nie należy wierzyć przeczuciom, bo narażają nas na często rozczarowania, dyrektorze kochany. Mówiąc wyraźnie i bez fochów: ja nie chcę z tym mieć nic wspólnego. Teraz, gdy już rozumiem wszystko.

— Co pan chce przez to powiedzieć — zapytał wolno Sedgwick, nie wyjmując cygara z zębów.

— Dosłownie to, co pan słyszał, dyrektorze. Nie mam zamiaru być aresztowany pod zarzutem uprawiania szpiegostwa. Komandor Douglas jest na moim tropie. On był tym kramarzem, jaki mnie śledził na Lawrance Avenue.

— To są głupie żarty, kapitanie Kent.

— Mówię najzupełniej poważnie. Nie chcę być szpiegiem mimo woli.

— Wie pan czym to mu grozi.

— Zwróceniem pieniędzy. Wprawdzie część już wydałem — ale zobowiązuję się pokryć.

— Ja nie miałem na myśli pieniędzy — rzekł Sedgwick ze spokojem, który przejął Jaza chłodem, a Cliffowi nakazał wsunąć rękę do kieszeni płaszcza.

— Bardzo to pięknie z pana strony, dyrektorze. Właściwie tak powinno być. Ja nie prosiłem o te pieniądze. Lecz to, co mam, zwrócę panu natychmiast i do widzenia. C. d. n.



Niedziela, dnia 13 lutego 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia 10.30 Opera „Pajace" z płyt 12.03 Poranek symfoniczny 13.30 Muzyka obiadowa (z Wilna) 14.15 Audycja dla wsi 15.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Pieśni i piosenki włoskie w wyk. Marii Fiorenza 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Słuchowisko „Człowiek za burtą" 19.20 „Tańczymy!" — muzyka z płyt 21.15 „Były sobie świnki trzy ...morskie" — Kukułka Wileńska 22.00 Opowieść o Beethovenie (III audycja).

Poniedziałek, dnia 14 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Edward Lalo: fragmenty z symfonii hiszpańskiej 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Lekkie melodie i piosenki (z Krakowa) 17.15 Recital skrzypcowy Kerttu Wanne 18.10 Tito Schipa śpiewa piosenki (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Dyskutujmy „Co myślimy o Kowalskich" — dialog 20.00 Wielki koncert rozrywkowy 22.00 Koncert kameralny (wyk. krakowski zespół instrumentalny).

Wtorek, dnia 15 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Miniatury instrumentalne 12.03 Audycja południowa 15.45 „Rzeczy ciekawe z pięciu części świata" — audycja dla dzieci 16.15 Chór Dana 17.00 „U Buszmenów" — pogadanka 17.15 Muzyka kameralna 17.50 „Zimowy strój rozwielitek" — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Wieczór literacki poświęcony Andrzejowi Strugowi 19.30 „Polska twórczość chóralna" — audycja VIII 20.00 Mozaika muzyczna 21.00 Koncert symfoniczny (z Poznania) 22.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 16 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Śpiewa Michele Fleta — tenor (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Nad wielką rzeką Limpopo" — pogadanka dla dzieci 16.15 Orkiestra rozrywkowa 17.00 Szlakiem II Brygady — odczyt 17.15 Zapomniane pieśni (z Poznania) 18.10 Muzyka (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Piosenki ludowe 19.35 „Dzieło prof. Stefana Czarnowskiego" — odczyt 20.00 Muzyka taneczna (płyty) 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Rozmowa K. Górskiego z T. Łopalewskim o poezji lirycznej" — kwadrans poezji 22.00 Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej.

Czwartek, dnia 17 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Tańce różnych narodów" — poranek dla młodzieży 11.40 Claude Debussy: Rapsodia na klarnet i saksofon (płyty) 13.03 Audycja południowa 15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży 16.15 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana 17.00 Wiedza i książka: O książce Janiny Orynżyny p. tyt. „Przemysł ludowy w Polsce" 17.15 Tańczymy przy dźwiękach orkiestry wojskowej 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Słuchowisko F. Goetla: „Anakonda S. A." 19.40 „Palestrant" — operetka Millöckera 21.45 „Wierzyński i młode pokolenie poetyckie" — szkic literacki 22.00 Twórczość Karola Szymanowskiego (transmisja z konserwatorium warszawskiego).

Piątek, dnia 18 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.45 Muzyka operowa — dyryguje Porcy Pitt (płyty) 12.03 Audycja południowa 14.45 „Jak pracują nasze mamy: „Praczka" — transmisja z pralni 16.15 „Kalejdoskop" — audycja muzyczna z Poznania 17.00 „Spółdzielczy kotlet" — pogadanka 17.15 Utwory fortepianowe i pieśni St. Kazury 18.10 Wesołe uwertury (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Komedia Aleksandra Fredry (wieczór V) „Pan Benet" 19.30 Pieśni w wyk. chóru „Echo" 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 19 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Edward Grieg: Druga suita „Peer Gynt" (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Jak zabawa — to zabawa" — karnawałowa audycja dla dzieci w wyk. zespołów dziecięcych 17.00 „Henryka Stoffels w życiu Rembrandta" — felieton 17.15 Recital fortepianowy Lelii Gousseau 18.15 Piosenki w wykonaniu Lucienne Boyer (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 „Kwiaty polskie" koncert rozrywkowy 21.00 Wielka wieczornica taneczna (transmisja z Płocka).



PEWNY SIEBIE

Müller wygrał proces. Adwokat depeszuje:
— Słuszność zwyciężyła.
Müller odpowiada:
— Proszę apelować!

ACH, TE KOBIETY

Było już dawno po północy, kiedy pani domu poprosiła znanego tenora, żeby zaśpiewał kilka pieśni.
— Łaskawa pani wybaczy, ale nie chciałbym przeszkadzać sąsiadom, którzy mogliby być niezadowoleni z tak późnego koncertu!
— Ależ nie! — odpowiada pani domu. — Po chwili jednak dodaje z pewnym wahaniem: — Swoją drogą, otruli mi niedawno psa, który wył po nocach!

LEKARZ CHORÓB DZIECIĘCYCH

Lekarz: — Pokaż język Kaziu, ale więcej, wyciągnij go jeszcze bardziej.
Kazik: — Więcej nie mogę, bo on jest z tyłu mocno przylepiony.

PROSZĘ ZNIECZULIĆ

Lekarz dentysta położył swego syna na kolanach i zamierza mu sprawić lanie.
— Zaczekaj tatusiu — krzyczy malec. — Zrób mi z początku znieczulenie miejscowe.

W SĄDZIE

Bully Smith zwierza się sędziemu.
— Panie sędzio, nie wiem, jak mam postąpić!
— Dlaczego?
— Złożyłem przysięgę, że będę mówił tylko prawdę, ale za każdym razem adwokat mi przeszkadza.

OCENA GRAFOLOGA

— Wiesz, grafolog, omawiając moje pismo, stwierdził, że mam „skłonność do nieuczciwości". Czekaj, dostanie on teraz swoje honorarium! Nie ma głupich!

PSEUDONIM

— Słuchaj Icek, wymyśl dla mnie jakiś pseudonim.
— A ty potrzebujesz pisać powieść?
— Nie, ja potrzebuję podpisać weksel.

RARA AVIS

Pan Kupś przychodzi do pana Pietrzaka. Gospodarz jest zajęty przetrząsaniem olbrzymiej sterty papierów, piętrzących się na biurku.
— Czego szukasz, Kaziu?
— Wyobraź sobie, nie mogę znaleźć pewnego zapłaconego rachunku!
— Mnie nie mogłoby się zdarzyć coś podobnego.
— Jakto?
— Bo, gdybym miał zapłacony rachunek, oprawiłbym go w ramki!

ROZTARGNIONY LEKARZ

— Niestety, będę musiał jeszcze raz otworzyć jamę brzuszną, gdyż zostawiłem w niej nożyczki.
Pacjent bez szemrania poddał się zabiegowi. Następnie okazało się, że doktór zapomniał wyjąć gąbkę. Po raz drugi otworzył więc jamę brzuszną i zaszył ją z powrotem. Odsapnął z ulgą, lecz nagle zbladł.
— Mój Boże! Zostawiłem w pańskim brzuchu moje rękawiczki!
Chory zniecierpliwił się.
— Dość tego! — wyszeptał z trudem. — Ma pan u mnie 10 złotych. Kupi pan sobie nowe!...

KOLUMB

— Dlaczego właściwie nazywa pan swego syna Kolumbem?
— Bo on pierwszy złapał na naszym radioodbiorniku Amerykę!

HIPNOZA

Lekarz postanowił zastosować hipnozę. Sadza pacjenta w fotelu i zaczyna przeszywać go wzrokiem.
— Ostrożnie, panie doktorze, — woła pacjent — bo jedno oko mam szklane!

SOLIDARNOŚĆ

Sędzia: — Jak to?... Żyje pan z żoną 24 lata i chcesz się pan rozwieść?
Mąż: — Pan sędzia też się dziwi, że nie przyszedłem wcześniej?... prawda?



Drogi Przyjacielu! Ukryj szybko harpun, bo ten wieloryb właśnie patrzy na nas!...

PREDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 31 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.